WRZESIEŃ 1933

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM XXXII

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 649-04.

T R E Ś Ć:

KATOLICYZM CZYNU.

(Mat. 6). Wonczas mówił Jezus uczniom swoim:

„Nikt nie może dwom panom służyć; bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego będzie miłował; albo z jednym trzymać będzie, a drugim wzgardzi.

Nie możecie Bogu służyć i mamonie.

Dlatego powiadam wam: Nie troskajcie się o duszę waszą, co będziecie jedli, ani o ciało wasze, czem się okryjecie. Nie jestże dusza czemś większem, niż pokarm, a ciało, niżli odzież?

Przypatrzcie się ptakom w powietrzu; wszakże one nie sieją, ani żną, ani nie zbierają do śpichlerzy, a Ojciec wasz niebieski żywi je! Czyż wy nie warciście wiele więcej, niż one?

A któż z was, choćby najusilniej przemyśliwał, zdoła do wzrostu swego dodać łokieć jeden?

A czemuż troszczycie się o odzienie? Popatrzcie na lilje polne, jak to one rosną! Nie pracują, ani przędą. A powiadam wam, że i Salomon w całym przepychu swym ani odziewał się jako jedna z nich. Jeśli więc trawę polną, która dziś jest, a jutro idzie na spalenie, Bóg tak przystraja, o ileż więcej was, małej wiary!

A przeto nie kłopoczcie się, mówiąc: Co będziemy jedli lub czem się przyodziejemy? O to wszystko ubiegają się właśnie poganie; wszak Ojciec wasz niebieski wie, iż tego wszystkiego wam potrzeba.

Szukajcie przeto na pierwszem

miejscu Królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, a to wszystko będzie wam przydane".

*
* *

Słowa powyższe pozwalam sobie zalecić szczególnej, głębszej uwadze wszystkich wielkich realistów doby obecnej, polityków, ludzi życia gospodarczego, działaczy społecznych i uczonych, którzy wszyscy głowią się nad istotnemi przyczynami obecnego kryzysu społeczno-gospodarczego i szukają dróg wybrnięcia z tej katastrofy.

*
* *

Nawiązuję do serji wspaniałych artykułów prof. Adolfa Kliszewicza, ogłoszonych na temat głębszych przyczyn obecnego kryzysu światowego w ciągu dwóch lat ostatnich w „Naszej Przyszłości". Z artykułów tych, które, razem wzięte, składają się już na bardzo obszerną monografję tego, co się obecnie na świecie i w Europie dzieje i ku czemu ten świat i Europa zmierza, wysuwa się — między wielu innemi — także i ta, organicznym rozwojem stosunków aż nadto wymownie uzasadniona teza, że jedyne wyjście, jedyny realny ratunek z przepaści, w którą nieuchronnie pcha nas „kult złotego cielca", wykształcony i wyolbrzymiony stopniowo przez całą ewolucję pojęć i stosunków od XVIII-go do XX-go wieku, może być tylko stanowczy nawrót do chrześcijańskiego, a ściślej mówiąc katolickiego światopoglądu i to nietylko w dziedzinie moralno-religijnej, ale i na wszystkich innych polach życia i pracy, a nie na ostatku także i na polu gospodarczem.

Oderwanie się od wszelkiego ideowo-religijnego światopoglądu, jakim — co prawda nadmiernie, zbyt fanatycznie — żyło średniowiecze, jednostronne przywiązanie do materjalizmu, bezkresny pęd do bogacenia się, nawet fikcyj-

nym kapitałem ruchomym, stąd nadmierne, absurdalne zadłużenie całego świata, którego z największym nawet wysiłkiem świat ten nie jest wstanie oprocetować i zamortyzować, stąd miażdżąca wszelką zdrową pracę gospodarczą i wszelkie wysiłki kulturalne dyktatura „ruchomego kapitału“, nie znajdującego już twórczego zastosowania w finansowaniu realnych objektów gospodarczych wobec i tak już nadmiernej produkcji, której świat nie jest wstanie zakupić i która właśnie dlatego staje się jego pasożytem, a nie dobrodziejstwem — wszystko to razem złożyło się na klęskę obecnej epoki, rodzącej prawem reakcji bolszewizm i inne groźne, niszczące objawy choroby czasu. Przyczyniło się do tego niemało bezmyślne, bezkrytyczne doktrynerstwo demokracji wszelkiego rodzaju i kalibru, demokracji ateistycznej, stawiającej na miejscu nadrzędnego Autorytetu Boskiego rozum tłumu, nawet proletarjatu, co wyrodzić się musiało w nieuchronnej konsekwencji w jednostronny kult złotego cielca i poddawać ludzkość coraz bardziej w niewolę tego kultu — niewolę czy to ultra-kapitalizmu, czy kolektywizmu.

Nie pomogą tu, zgadzamy się w tem z autorem najzupełniej, żadne remedia i paljatywy tego samego typu, jaki posiada niszcząca nas choroba moralno-społeczno-gospodarcza. Nie pomogą więc żadne dorywcze korektywy ekonomiczne, choćby najdowcipniejsze, ani chwilowe ulgi lokalne, ani porozumienia międzynarodowe, ani wszelakie sztuczne zmiany ustrojowe, jakich próby i eksperymenty widzimy dzisiaj we wszystkich niemal państwach świata. Wszystkie one bowiem koncypowane są w dalszym ciągu na tymżesamym gruncie choroby, którą niby leczyć mają. Leżą wszystkie na linji tych samych mniejwięcej pojęć — wszechmocy kapitału, prywatnego lub państwowego lub kolektywnego, bezwzględnego władztwa materjalizmu, jako rzekomo jedynej realnej rzeczy na świecie i ideologji bezcelowego bogacenia się w nieskończoność — i stąd też za-

miast leczyć, pozostają bezskuteczne, a nieraz nawet pogarszają jeszcze ogólną katastrofę.

I dlatego, analizując trzeźwo i logicznie ten rozwój sytuacji, dochodzi autor do wniosku, że jedynie skutecznem zatamowaniem tego pędu w przepaść może być tylko pewien „nawrót do średniowiecza“, t. j. zerwanie z bezkresnym kultem złotego cielca i wszystkiemi tego kultu konsekwencjami, a natomiast regeneracja w życiu i pracy ludzkiej momentu ideowego, religijnego, a zwłaszcza katolickiego. Dotyczy to zarówno jednostek, jak państw i narodów.

Wywody prof. Kliszewicza, których głębokiego i wszechstronnego uzasadnienia niepodobna nam tu streszczać nawet w krótkim zarysie, są wprawdzie samodzielnie ujęte, opracowane i wydedukowane, ale — co potęguje jeszcze ich słuszność i znaczenie — nie stanowią bynajmniej izolowanej, abstrakcyjnej koncepcji autora. Potwierdza je bowiem cały rozwój kryzysu politycznego, społecznego i gospodarczego, zwłaszcza w ciągu ostatnich kilkunastu lat, coraz widoczniejszy nawrót do religji na całym świecie, mimo najgwałtowniejszej kontrakcji ze strony ateizmu, dalej coraz wyraźniejsze, choć dotąd sporadyczne jeszcze, tendencje do ograniczania w poszczególnych państwach rozmiarów produkcji i bezkrytycznego rozwoju maszynizmu i coraz częściej spotykane hasło „nawrotu do średniowiecza“, a więc do teistycznego światopoglądu, na polu gospodarczem do rzemiosła, do zahamowania tego bezbrzeżnego, mającego się w nieskończoność procentować kapitału papierowego.

I tak też jest. Już dwa lata temu pozwoliłem sobie podnieść na łamach tego pisma groźne niebezpieczeństwo „dyktatury produkcji“, którą ona — z wolą czy mimowoli — na ludzkości wywiera i wskazać na nonsens tych wszystkich haseł „patrjotyzmu gospodarczego“, „konieczności“ bezbrzeżnego rozwoju gopodarczego i t. d., które-

mi rozbrzmiewają ustawicznie państwa, sfery gospodarcze, fachowi ekonomiści i różni doktrynerscy politycy — uszczęśliwiacze. Rozwój gospodarczy jest rzeczą pożądaną, ale bynajmniej nie konieczną, nie muscwą, nie za wszelką cenę, jeżeli brak chwilowo warunków do tego — głosiliśmy. Produkcja i finansiera chce à outrance łamać żelazne prawo podaży i popytu, chce rozwoju ekonomicznego ponad wszelką potrzebę, ponad realną możność realizacji tego bezkresnego i bezkrytycznego celu. Mylą się zbyt uczeni i zbyt przerutynowani ekonomiści, że szczęście człowieka i państwa leży przedewszystkiem w jak największym, ciągle rosnącym dobrobycie materjalnym i popychając w tym kierunku, w tym duchu zarówno opinję publiczną, jak i swą własną gałąź nauki.

To nieprawda! To kapitalna pomyłka. Wprawdzie pewien dobrobyt jest ludziom pożyteczny, nawet potrzebny, ale szczęście, zadowolenie i płynąca stąd także twórczość człowieka nie polega aż tak dalece na podnoszeniu swego dobrobytu, bezbrzeżnie i za wszelką cenę, aby nawet działo się to z coraz większą ingerencją państwa, czy ogółu i wpędzało jednostkę w coraz większą zależność od nich i niewolę. Nie bogactwa, ale przedewszystkiem wolność — przy pewnym dobrobycie — jest największym skarbem doczesnym człowieka, a nakładanie mu obróży, chociażby złotej (o ile złota jest wogóle możliwa), zawsze go unieszczęśliwi i w bezdusznego zamieni niewolnika. Cały obrót dzisiejszych stosunków potwierdza bezspornie tę oczywistą prawdę.

Wielką też jest zasługą prof. Kliszewicza, naszego cennego współpracownika, że te, na podstawie praktycznej obserwacji stosunków przez „Naszą Przyszłość" wysunięte tezy odrazu zrozumiał, podjął i w serji swych prac tak obszernie i głęboko, a przytem całkowicie samodzielnie rozwinął, uzupełnił i naukowo uzasadnił. Poczęła się u nas więc prawdziwa „szkoła", która, porzucając zupełnie do-

tychczasowe, dorywcze, zdawkowe, a w rezultacie tak jałowe próby rozwiązania kryzysu na drodze mechaniczno-gospodarczej i na podłożu światopoglądu wyłącznie materjalistycznego, uderzyła w ten punkt, z którego poczęła się cała obecna klęska i z którego w konsekwencji może też jedynie wyjść na serjo naprawa — t. j. w stosunek ludzi do religji z jednej, a do złotego cielca z drugiej strony. I każdy dzień utwierdza nas obecnie w tem przekonaniu, że start czy to w kierunku naprawy, czy w kierunku dalszej katastrofy, zależeć będzie przedewszystkiem od tego, czy ludzie, a zwłaszcza różne sfery wśród nich z takiego, czy innego względu miarodajne, zdołają, w głębszem zrozumieniu sytuacji i przyczyn złego, wrócić na grunt zdecydowanych pojęć chrześcijańskich — w Polsce oczywiście katolickich — czy też brnąć będą dalej w tych samych pojęciach, założeniach i tendencjach skrajnego materjalizmu, które w ciągu lat prawie dwustu wywoływały całą dzisiejszą katastrofę moralną i materjalną.

Otóż ta wielka alternatywa, wobec której staje dzisiaj cała ludzkość — czy chce, czy nie chce — wysuwa i u nas na czoło zagadnień sprawę Religji, sprawę katolicyzmu, ale w daleko szerszem, niż dotąd, znaczeniu. Dotąd bowiem, żeby rzec szczerą prawdę, była wprawdzie religja katolicka zawsze w wielkiem u nas poszanowaniu, byliśmy do niej nawet zawsze mocno przywiązani, przynajmniej w większości naszego społeczeństwa, ale — mimo wszystkich zewnętrznych objawów tego przywiązania — traktowano ją w istocie raczej jako sprawę prywatną, sprawę przekonań jednostki, a już zgoła nie stosowano jej w życiu publicznem i gospodarczem, zastępując ją tam pojęciami czysto świeckiemi (i jakże w praktyce zmiennemi!), jak patrjotyzm, honor, etyka i t. d., z których zwłaszcza ta ostatnia niezmiernie ulegała modzie i t. zw. ewolucji.

Tymczasem katolicyzm, to nietylko religja, ale i cały ś w i a t o p o g l ą d, z niej wypływający i dający dyrek-

'tywę postępowania we wszystkich dziedzinach, nawet w takich, w których powierzchowny sąd ludzki nie dopatruje się zwykle żadnego związku z religją.

Weźmy przykład pierwszy z brzegu, a bardzo dziś aktualny. Człowiek z życia gospodarczego, zaabsorbowany swemi, bardzo „realnemi" i materjalnemi sprawami, choćby prywatnie był gorliwym katolikiem, często nie przykłada wagi w życiu publicznem, w swoim zawodzie, do spraw i akcji moralno-religijnych, nie rozumie zwłaszcza związku, jaki zachodzić może między życiem gospodarczem w państwie, a temi sprawami. Otóż związek ten nietylko istnieje, ale jest nawet bardzo mocny i decydujący. Bo w państwie, w którem kwestja religji, podnosząca nieśmiertelność duszy, a więc i rolę indywidualną jednostki także i w życiu doczesnem, posiada odpowiedni autorytet i panuje w życiu publicznem, całe nastawienie opinji publicznej, ustroju i rządów tego państwa nie pójdzie w sprawach gospodarczych zasadniczo przeciw słusznym uprawnieniom i interesom jednostki, nie pójdzie po linji etatyzacji, socjalizacji i niszczenia jednostek nadmiernymi ciężarami na rzecz tak czy inaczej pomyślanego kolektywu. W państwie zaś, gdzie panuje ateizm lub indyferentyzm religijny, gdzie sprawa duszy w życiu publicznem, oficjalnem, nie ma żadnego znaczenia, tam w nieuchronnej konsekwencji także i interes widomej jednostki jest coraz bardziej negliżowany na rzecz takich czy innych doktryn lub pojęć zbiorowych. Napróżno wówczas silą się ekonomiści, wyznawcy prawa własności i gospodarki indywidualno-kapitalistycznej, na próżno silą się sfery gopodarcze, miażdżone ciężarami publicznymi i rosnącym etatyzmem, aby ratować interes gospodarstwa indywidualnego. Gdzie niema zrozumienia dla indywidualizmu i wyższego posłannictwa duszy ludzkiej, tam nie jest możliwem sprawiedliwe zrozumienie dla interesów doczesnych jednostki i cały ustrój gospodarczy musi nieubłaganie iść coraz bardziej „na lewo", w objęcia

radykalizmu, fiskalizmu, etatyzmu i postępowej socjalizacji. Nie przeszkadzają tej smutnej ewolucji hasła patrjotyzmu i honoru lub jakiejś świeckiej etyki, bo wiadomo, jak giętkie trjotyzm hitlerowski lub bolszewicki, w pojęciach tych obu są dzisiaj te pojęcia i jak każdy system rządzenia, każdy narzucony ustrój państwa może je łatwo nagiąć i doszlifować do swych celów. Wystarczy wymienić dzisiejszy pareżimów, lub choćby tylko nasz dawny, z przed lat dziesięciu, patrjotyzm „robotniczo - włościański“ za rządów ludowców i socjalistów, aby uprzytomnić sobie olbrzymią giętkość, sprzeczność i rozpiętość tych świeckich haseł i frazesów, nie regulowanych żadną wyższą, nadrzędną, niezależną od ludzkich namiętności normą.

Ale choćby i z czysto praktycznego, że tak powiem: codziennego punktu widzenia, brak owego nadrzędnego autorytetu, nadrzędnej normy w poczynaniach ludzkich powoduje wielką niepewność stosunków, zamiarów, wysiłków, ogromne marnowanie nakładu pracy i środków. Bo organizacje, prądy i kierunki działania na arenie publicznej, którym brak jakiegoś normatywu sub specie aeternitatis, zależne są całkowicie od chwilowej konjuktury, namiętności, ambicji, kaprysu lub chwilowych, tak często zwodniczych „przewidywań“. To też zmienne bywają, jak wiatr i efemeryczne, jak bańka mydlana. Ileż to kierunków, nastawień, stronnictw, przekonań i t. p. przewinęło się przed naszemi oczyma choćby tylko w tym krótkim przeciągu kilkunastu lat od chwili wskrzeszenia Polski! Ileż wśród nich zabłysło, jak meteor i wnet potem w nicość się zapadło! A zapadły się właśnie dlatego, że były chwilowem dziełem rąk ludzkich, bez wyższej idei, bez narzędnej, trwałej normy.

Chcąc więc coś naprawdę trwałego stworzyć, trzeba bezwzględnie oprzeć się o jakieś normy i wartości niezmienne, niezależne od kalejdoskopu ludzkich namiętności, ambicji i t. zw. „przekonań“. A takie niezmienne normy zna-

leźć możemy tylko w religji, zwłaszcza w katolickiej, która żadnym zmianom i fluktuacjom w dogmatach swych nie podlega i dowiodła przez dziewiętnaście wieków zgórą, że nie jest w zasadach swych zależna od stosunków i konjunktur tego świata. To też nie dziw, że coraz więcej wybitnych pisarzy i działaczy świeckich, nawet nie zajmujących się wcale sprawami religji i Kościoła, dochodzi do wyraźnego przeświadczenia, że naprawy dzisiejszego kryzysu moralnego i materjalnego i prawdziwie skutecznej ochrony przed różnemi, grożącemi światu doktrynami i niebezpieczeństwami politycznemi i społeczno - gospodarczemi szukać można na serjo tylko w normach i wskazaniach religji katolickiej. I w istocie, najrealniej nawet rzeczy biorąc, zaświadczyć musimy na podstawie codziennego doświadczenia, że wszystkie inne środki i paljatywy zawodzą. Zawodzą nawet pojęcia ojczyzny, honoru i etyki, jeżeli opierają się na normach czysto ludzkich, bez głębszego religijnego podkładu.

Trzeba mieć tylko odwagę, uczciwość i prawdziwie realne zrozumienie praktycznej sytuacji, aby to sobie jasno i wyraźnie powiedzieć. Nie jest to żaden mistycyzm, ani transcendentalizm, jakby to może usiłowali skrytykować nasi różni wielcy realiści w życiu politycznem i gospodarczem, ale — najszczersza prawda. Jest to ta „rzeczywista rzeczywistość", w przeciwstawieniu do potocznej rzeczywistości urojonej, jaką kombinują sobie na podstawie przemijających konjunktur różni „trzeźwi" przedstawiciele życia politycznego lub gospodarczego.

Pewien — oczywiście zmodernizowany — nawrót do średniowiecza, gdzie wszelka praca ludzka przeniknięta była myślą o Bogu, gdzie moment religijny grał pierwszorzędną rolę, jest obecnie wprost koniecznością dziejową, jest bijącym w oczy wnioskiem całego doświadczenia ostatnich paru wieków, a zwłaszcza ostatnich paru dziesiątek lat — jeżeli tylko dojrzeliśmy już na tyle, aby naukę z tego do-

świadczenia umieć wyciągnąć. Bo wyciągnijmy tylko pewne generalne konkluzje z tego, co się dzieje, w co zabrnęliśmy w jakiemś niesamowitem zaślepieniu i na czem chcemy nibyto „realnie“ lepszą przyszłość budować.

Wszelakie prądy i hasła polityczno - społeczne, rozbrzmiewające dzisiaj po świecie i budujące mit sanfter oder brutaler Gewalt takie czy inne nowe ustroje, głoszą uszczęśliwienie ludzi, a płodzą coraz większą nędzę i niewolę. Głoszą pokój światowy, a przygotowują w praktycznym rezultacie najstraszniejszą wojnę, o jakiej się dotąd nie śniło, przyczem państwa oszukują siebie wzajemnie w gorączkowym wyścigu zbrojeń pod nieznanym przed wojną światową płaszczykiem pacyfizmu, lig i konferencji międzynarodowych wszelkiego rodzaju. A życie gospodarcze, z wszelkiemi swemi hasłami, doktrynami i bezrozumnym, nieprzytomnym maszynowym postępem, który rzekomo być musi (!) i którego rzekomo miarkować niepodobna, ze wszystkiemi swemi „naukowemi“ — no i mniej naukowemi, a za to jawnie geszefciarskiemi — metodami i organizacjami pracy, daje nam coraz większą nędzę, bezrobocie, zniechęcenie do wszelkiej twórczej pracy, a przedewszystkiem: tandetę. Bo nadmierna, masowa, zalewająca powodzią świat cały fabrykacja coraz gorszej tandety — oto kwintesencja dzisiejszego życia gospodarczego, obserwowanego z lotu ptaka, bez wchodzenia w szczegóły i wyjątki.

Czy tym gigantycznym sprzecznościom, tym wykluczającym się wzajemnie obsurdom w polityce, gospodarce i w innych stosunkach między ludźmi , których coraz dotkliwsze oddziaływanie codzień na własnej skórze czujemy, będą wstanie zaradzić środki, narzędzia i pomysły, oparte na tychże samych podstawach, na tych samych światopoglądach, materjalistycznych, ultra-realistycznych, które właśnie tę katastrofalną sytuację stopniowo zrodziły i zaostrzyły? Rzecz jasna, że nie będą wstanie.

Zmienić się muszą przedewszystkiem same podstawy światopoglądu, który dotąd politycznymi, a zwłaszcza społeczno-gospodarczymi losami świata kierował, zmienić się musi całe nasze nastawienie do tych dziedzin. A dokonać tego może tylko integralny nawrót do religji, do katolicyzmu.

Ale oparcie się na tym gruncie musi być głębokie, szczere, jak się wyżej rzekło — integralne. Musi to być katolicyzm nietylko w myśli i słowie, ale i w czynie, i to w czynie, zastosowanym nietylko w dziedzinie moralno-religijnej, ale i w każdej innej, nawet w takiej, która pozornie nie ma z religją nic do czynienia.

Przedewszystkiem ideologja katolicka wyklucza nienawiść — w najszerszem tego słowa znaczeniu — co w zastosowaniu do wszelkich norm i warunków ludzkiego współżycia i współpracy pociąga za sobą daleko idące konsekwencje i zmiany w dotychczasowych stosunkach. Weźmy np. dziedzinę zmagań prądów politycznych lub walk konkurencyjnych, toczących się dzisiaj w imię złotego cielca, a uwidoczni się zaraz głęboka przepaść między tem, co według zasad katolickich być powinno, a tem, co się w rzeczywistości dzieje. To samo dotyczy stosunków wyznaniowych, narodowościowych, szczepowych, rasowych, klasowych i t. d. Usunięcie stąd systemu zawiści, który ma rozstrzygać przeciwieństwa siłą gwałtu, a w rezultacie osłabia tylko i niszczy przeciwników, otwarłoby już samo przez się drogi do zgodnego i korzystnego wyjścia ze wszystkich tych konfliktów. Nie jest to równoznaczne z tchórzliwym pacyfizmem za wszelką cenę, nie jest „rżnięciem karabinem w bruk ulicy“ wobec zbliżającego się nieprzyjaciela. Bronić się wolno i trzeba, tak w stosunkach prywatnych, jak i publicznych. Ale energiczne nawet odparcie takiego czy innego przeciwnika na jakiemkolwiek polu nie powinno opierać się na zasadniczej ku niemu nienawiści. Przeciwnicy zawsze winni być gotowi dłoń do siebie wyciągnąć i szu-

kać porozumienia. I w kierunku szukania dróg porozumienia i wygładzenia stosunków winny zmierzać usiłowania na wszelkich polach. Nie ten jest zwycięzcą prawdziwym, kto chwilowo, przemocą lub podstępem, zmiażdżył przeciwnika, ale ten, kto — nawet po chwilowem starciu — zdołał go pozyskać dla dobrej sprawy. Bo tylko zwycięstwo dobra i sprawiedliwości może być naprawdę korzystnem i trwałem.

Weźmy znowu znane przykłady. Niesprawiedliwe zmiażdżenie przeciwnika siłą i gwałtem w życiu międzynarodowem mści prędzej czy później zawsze nemesis dziejowa. Walą się pozornie silne trony, przemocą i zaborem ufundowane, jak domki z kart. My, Polacy, winniśmy coś o tem wiedzieć. Podobnie w życiu społeczno-gospodarczem. Ucisk warstw jednych przez drugie dla zdobycia pieniądza, tworzenie związków i porozumień, mających na celu wyzysk ekonomiczny lub naodwrót, niszczenie warsztatów pracy, choćby nawet przez pewien czas przynosiło nieprawne owoce, to jednak zawsze, prędzej czy później, zemści się jakąś klęską, bankructwem, bezrobociem, a nawet skandalem — nie mówiąc już o krwawych rewolucjach i wyrastających z nich okrutnych reżimach, które w niwecz obracają rezultaty wieloletnich nieuczciwych, zachłannych zabiegów.

I tu nawiązuje się zaraz drugi postulat, bez którego realizacja idei katolickiej nie jest możliwa: usunięcie zasad amoralnych (bo nie mówię już o wprost antymoralnych) w stosukach zwłaszcza gospodarczych. Nowsze czasy wysunęły na czoło tych stosunków zasadę „business is business". Ośmieszana ta dawniej amerykańska zasada zapanowała jednak szybko w całem życiu gospodarczem, harmonizując się—rzecz dziwna — z pojęciem uczciwości kupieckiej, coraz elastyczniej pojmowanem i caraz liberalniej ku tamtej zasadzie naginanem. Ostatnie zwłaszcza lata rozwinęły przed nami obraz, pod tym względem wprost groź-

ny. Zaczyna w wielkich sferach gospodarczych świata coraz więcej braknąć nazwisk, któreby nie były wplątane w jakimś skandalu. Niema prawie dnia, żeby dzienniki nie przyniosły jakiejś nowej, sensacyjnej w tym kierunku rewelacji. Krąg ludzi czystych rąk coraz bardziej się kurczy. A co najdziwniejsze w tym niesamowitym procesie rozkładowym, to przedewszystkiem rozbrajająca naiwność przestępców. Wyobrażają sobie, że ich ciemne sprawy i oszustwa, na światową nieraz zakrojone skalę, pozostaną zawsze niewykryte i niepomszczone.

Co się dzieje na wielkiej, światowej arenie, to dzieje się w zastraszającym postępie, choć w odpowiednio mniejszej skali, w poszczególnych państwach. Zapewne wzmaga ten stan rzeczy panujący kryzys, bo niedostatek, choćby względny tylko niedostatek, złym jest doradcą. Ale głównem źródłem tego moralnego, a wnet potem i materjalnego załamywania się tysięcy jednostek jest niewątpliwie zasadnicza, amoralna, niby „trzeźwa" zasada, że interes jest interesem. I w dalszych swych konsekwencjach zasada ta paraliżuje także zgóry wszelkie, objektywnie pomyślane wysiłki walki z kryzysem, bo skrajny egoizm chwilowego, doraźnego interesu przeciwstawia się wszelkiej racjonalnej myśli o lepszem i trwałem jutrze. Odnosi się wrażenie, jakgbyby ludzie wraz z etyką i zdrowy rozum stracili. Na myśl przychodzą słowa Sokratesa, że cnota równoznaczna jest z mądrością.

Nie — business is not business, czyli, tłómacząc po polsku, nie każdy interes jest prawdziwie dobrym interesem. Prawdziwie dobrym i trwałym jest tylko wówczas, jeżeli stosuje się do wyższych zasad etycznych — do wyższych, nietylko do zdawkowych. I tu właśnie normatyw katolickiego światopoglądu — obcy niejednej innej religji— decydujące ma znaczenie, decydujące nietylko w sensie moralnym, ale również i z punktu widzenia zdrowych i trwałych materjalnych korzyści.

Poprzestańmy na tych przykładach. Rzecz nie wymaga chyba dalszych ilustracji, dalszego dowodzenia. Wystarczy tylko skonstantować, że łatwo jest być wyznania katolickiego, ale wcale nie łatwo jest być w dzisiejszych warunkach naprawdę katolikiem. Dlatego też zerwanie się do moralnej i materjalnej regeneracji na podstawie głębiej pojętego i w czyn wcielonego katolicyzmu wymaga odpowiedniego przełamania się i wysiłku. Ale za to jest to najpewniejsza i jedyna droga naprawy. Wszystko inne, to tylko środki pomocnicze i szczegóły, które bez uznania i zastosowania tej naczelnej zasady nadrzędnej nie wydadzą pożądanego rezultatu.

Z tej całej analizy jedna, już więcej szczegółowa, nasuwa nam się konkluzja: że katolicyzm czynu musi odrodzić się w Polsce potężnie, integralnie i to w życiu także świeckiem, bo strona czysto religijna tej sprawy jest oczywiście bezpośrednio rzeczą Kościoła. Musi odrodzić się i zrealizować we wszystkich swych konsekwencjach, jakie wcielenie ideologji katolickiej we wszystkich dziedzinach życia ze sobą przynosi. Trzeba koniecznie zrobić start i wysiłek, aby dźwignąć się z całego tego upadku przedewszystkiem moralności i kultury, w jakim pogrążyły nas panujące wszechwładnie ultra-materjalistyczne pojęcia i doktryny. Słychać zewsząd — i nie od dziś dopiero — skargi na upadek wszelkich wyższych pierwiastków, wszelkiego autorytetu, a z nimi razem także zanik tych wszystkich podstawowych momentów i warunków, które umożliwiają twórczą i owocną pracę. A więc, jeżeli ten upadek powszechnie jest uznany i głoszony, od salonu do izby wieśniaczej, to dlaczego zatrzymywać się na biernej, iście tołstojowskiej zasadzie konstatowania złego, a nie zerwać się do naprawy i odrodzenia? Bo przecież, prawdę mówiąc, nic nam w t y m w z g l ę d z i e nie stoi na serjo na przeszkodzie, oprócz własnej inercji i codziennego, drobnostkowego, a jakże jałowego rozprószenia w pogoni za do-

raźnym interesem, który coraz częściej nie bywa prawdziwie dobrym i trwałym interesem!

Chodzi więc o wcielenie katolicyzmu czynu w sposób, któryby praktycznym pociągnął przykładem.

Temat właściwie nie nowy — ale jakżeż fatalnie dotąd u nas rozumiany! Tak fatalnie, że w świeckiem życiu, zwłaszcza szerszem, publicznem, pojęcie katolicyzmu wciśnięto w istocie w kategorje partyjno-polityczne. Co za ironja faktu w tem zabawnem, a przytem zarozumiałem i wprost występnem spojeniu dwóch, tak dalece różnorodnych wielkości i jakości: odwiecznej, niezmiennej, nadrzędnej i nadprzyrodzonej idei katolickiej z efemeryczną ambicją pewnych kół i kółek, opartą na wiecach, wyborach i doraźnych politycznych rachubach! A już zgoła bezpodstawnem jest to w katolickiej Polsce. Bo że w Niemczech, albo w innem jakiem państwie, gdzie w większości inne panuje wyznanie, skupiali się katolicy także i w specjalne zespoły polityczne dla obrony praw Kościoła, to zrozumiałe. Ale podział katolickiego społeczeństwa polskiego na partje katolickie i niby niekatolickie — to przecież absurd, nietylko religijny, ale i polityczny, a oparty oczywiście tylko na owym momencie zasadniczej nienawiści, tak sprzecznej z prawdziwą ideologją katolicką. Ależ w państwie o znacznej większości katolickiej i w narodzie o przygniatającej katolickiej większości żadna polityczna „partja katolicka“ nie ma i nie będzie nigdy miała racji bytu. Może coś takiego powstać, może się tak nazwać, ale tylko na podłożu skrajnej demagogji i amoralnej idei, przeciwnej wszelkim założeniom katolicyzmu, a nawet zdrowej logice politycznej. Bo co innego, gdy mniejszość katolicka w innowierczem państwie podporządkuje wszelkie dzielące ją różnice przekonań potrzebie skupienia się w walce o wiarę, a zupełnie co innego w państwie o panującem wyznaniu katolickiem: tu przecież niema podobnej potrzeby, ale większość katolicka, wcale nie zagrożona w wyznawaniu

swej wiary przez innowierców, może swobodnie dzielić się na arenie politycznej na zwolenników różnych przekonań w stosunku do bieżących problemów ustroju i gospodarki państwowej. Tu więc wymagać, żeby wszyscy katolicy absolutnie jednego byli zdania, w jednem tkwili stronnictwie i na tych samych głosowali posłów, jest żądać niemożliwości.

Dlatego też całkiem błędnem było u nas od początku hasłem, żeby katolicy w Polsce konsolidowali się na terenie politycznym, a zwłaszcza na każdorazowej arenie wyborczej. Do tego nigdy nie przyjdzie, bo katolicy, to nie polityczne stado, któreby dało spędzać się raz po raz, biernie i bezmyślnie, pod takie czy inne wyborcze sztandary. Dlaczego myślący katolicy mają być w świeckich, doraźnych kwestjach politycznych tego samego wszyscy zdania?

Nie, wszelkie koncepcje konsolidacji żywiołów katolickich na arenie czysto politycznej stanowczo się nie powiodą i w naszych warunkach nie są nawet wskazane. Jest to obniżanie religji do poziomu zwykłych walk partyjnych, niezawsze, jak wiadomo, etycznych, w czem przeto katolicyzm bezpośrednio dużo tracić musi ze swego nadrzędnego autorytetu. Tu więc, zdanem naszem, całkiem inaczej zabrać się należy do rzeczy.

Tyle dzisiaj mówi się o elicie. Kwestja tworzenia, czy szukania elity w Polsce jest na wszystkich ustach i w całej prasie. Nawiasem mówiąc, smutne to stosunki, że aż dopiero tworzyć, czy szukać trzeba elity w narodzie o tysiącletniej historji i kulturze! Ale wszyscy (bo wszyscy!) twierdzą, że to konieczne, więc widocznie tak być musi... Istotnie, do realizacji wszelkich donioślejszych poczynań niezbędną jest jakaś elita intelektu, któraby pociągnęła szersze masy przykładem w danym kierunku. Stąd naturalny wniosek, że do regeneracji ducha prawdziwie katolickiego w społeczeństwie, do pobudzenia tego katolicyzmu czynu i to w świeckim zakresie, o który w niniejszych uwagach

nam chodzi, potrzebną jest również elita — rozumiejąca głębiej ideologję katolicyzmu nietylko w kwestjach czysto religijnych, ale również w jej zastosowaniu do wszystkich dziedzin życia i pracy publicznej. I ta elita — której w Polsce chyba nie braknie i której szukać, ani tworzyć chyba nie potrzeba — powinna skupiać się i zaktywizować, ale nie w żadnym innym celu, jak tylko dla pełnienia swego właściwego zadania: pchnięcia społeczeństwa w kierunku prawdziwie katolickim i zaszczepienia wyższych pierwiastków moralnych wszędzie tam, gdzie dotąd w gruncie rzeczy panował indyfrentyzm, lub amoralne, wyłącznie materjalistyczne nastawienie.

Śmiem nawet twierdzić, że żadnej nie trzeba tu specjalnej organizacji, żadnych nowych zrzeszeń, statutów, prezydjów i t. p., co nawet mogłoby wnet obciążyć i wypaczyć rolę tej elity, gdyż przeistoczyłoby ją niechybnie w jakieś nowe stronnictwo lub dopuściłoby istniejące ugrupowania partyjne do szukania w niej i na niej żeru. Nie sztuczna organizacja to być powinna, ale naturalny, żywiołowy prąd i kierunek, w którym wszystkie myśli i wysiłki koncentrowałyby się pod egidą jednej, tak przecież jasnej i bezspornej idei, do wspólnego celu. Wola musi tu działać i głębsze zrozumienie położenia, a nie sztuczne, z natury rzeczy zawsze tylko efemeryczne ramy organizacji, paragrafy i uchwały.

Ale, jako potężne narzędzie i zarazem organ widomy tej elity, powstać musi też odpowiednia jej celom i założeniom prasa. Bo w Polsce brak prasy tego rodzaju.

Jakto — zarzuci ktoś — brak w Polsce prasy katolickiej? Niestety tak, o ile chodzi o prasę tego specjalnie typu, któryby odpowiadał wyżej nakreślonym warunkom. Bo istnieją u nas dotąd tylko dwa rodzaje wydawnictw prasowych, na ideologji katolickiej opartych: albo wydawnictwa o charakterze wprost kościelnym, mniej lub więcej noszące wyraźny charakter religijny, albo takie, których

wydawcy czy redaktorzy są katolikami i wielu współautorów także, ale których cele i zadania są partyjno-polityczne lub aktualistyczno-gospodarcze i dlatego pochłonięte są te pisma, ogółem biorąc, właściwie tylko obroną i propagandą polityki i interesów danych grup. Te więc pisma polityczne i polityczno-gospodarcze, chociaż tu i ówdzie zajmują się jakąś kwestją stanowiska katolickiego w pewnej bieżącej sprawie, nie mają jednak czasu na pogłębienie w tym kierunku swego programu, tembardziej, że konkurując ze sobą o „najświeższe informacje i sensacje“, zbyt pogrążone są w codziennej, zdawkowej rutynie dziennikarskiej. Nadto, gwoli zadośćuczynienia poziomym wymaganiom intelektu możliwie szerokich sfer czytelników, nie wzdragają się te pisma „katolickie“ zamieszczać obfitą kronikę zbrodni, skandali i opisów różnych obrzydliwości, uważając to widocznie także za „obowiązek dziennikarski“. A przecież dwóch zdań być nie może, że najlepsze nawet pismo, które rozkoszuje niższe instynkta ludzkie dosadnymi opisami detalicznymi np. procesu Gorgonowej lub wszelakich okropności i brudów z łona szumowin społeczeństwa lub wreszcie samobójstw, zdrad małżeńskich i t. p., nie jest pismem, działającem w duchu katolickim, choćby nawet w artykułach wstępnych niewiedzieć jak katolicyzm swój akcentowało i zamieszczało w kronice ostentacyjnie komunikaty wszystkich bractw pobożnych.

Co pewien czas widzimy wreszcie próby zakładania dzienników „wyłącznie tylko katolickich i bezpartyjnych“. Ale wszystkie takie próby, bez wyjątku, okazywały się dotąd zupełnie złudne i — powiedzmy otwarcie — nieszczere. Bo od pierwszego numeru każdy, choćby nawpół tylko inteligenty czytelnik poznawał zaraz, że ma do czynienia z organem par excellence partyjnym. Żadne z tych pism, głoszących szumnie swą rzekomą nadrzędność ponadpartyjną, nie wzniosło się istotnie na ten poziom. W każdym z nich katolicyzm stał wyraźnie na usługach polityki, ta-

kiej czy innej, zwykle — jak wiadomo — na usługach narodowej demokracji, czyli, jak się dzisiaj mówi, stronnictwa narodowego. Niekiedy także był wyraźnym organem propagandowo-wyborczym chrześcijańskiej demokracji, jako stronnictwa politycznego (bo niestety stronnictwo to wypaczyło u nas bezsprzecznie wielką ideę Leona XIII).

W takich warunkach — poza wymienioną na wstępie prasą o charakterze kościelno-religijnym lub religijno-naukowym — nie może być mowy o spełnieniu tego wielkiego postulatu w naszem społeczeństwie, o którym od dawna jest już mowa, mianowicie stworzeniu przynajmniej jednego poważnego organu prasowego o charakterze świecko-katolickim i to integralnie katolickim, szczerze i prawdziwie wolnego od wpływów partyjno-politycznych. Takiego organu u nas dotąd nie było i nie ma, bo z jednej strony przeszkadzają temu namiętności ludzkie i ambicje, z drugiej zdawkowa rutyna dziennikarska w pogoni za czytelnikiem i sensacją, z trzeciej wreszcie krótkowzroczny materjalizm społeczeństwa, które — nawet wyższe jego sfery — nie jest wstanie zrozumieć korzyści sfinansowania organu prasowego, nie propagującego bezpośrednich, doraźnych interesów jakiejś sfery, czy grupy, zawualowanych oczywiście wstydliwie t. zw. dobrem państwa i narodu. Nie jest wstanie zrozumieć jałowości propagandy prasowej tego rodzaju w sprawach zmiennych, efemerycznych, które nakształt baniek mydlanych zaigrają na chwilę kolorem tęczy, aby prysnąć bez śladu — w przeciwieństwie do propagandy prawd i zasad odwiecznych, które nigdy nie zawiodą w swem zastosowaniu do wszelkich ważnych zagadnień życia, pracy, polityki i gospodarki ogólno-państwowej, traktowanych jednak nie z wąskiego, partyjno-personalnego podwórka, ale z szerokim horyzontem i wzrokiem, skierowanym w przyszłość Polski i całego naszego społeczeństwa.

Tego nikt dotąd nie potrafił, a jednak to właśnie jest, powtarzamy, jednym z najważniejszych postulatów doby

obecnej. Organ taki musi w Polsce powstać, jeżeli idea katolicka ma się pogłębić w praktyce, czynem, a nietylko samem wyznawaniem. Podnieta w tym kierunku nie bezpośrednio od samego tylko wychodzić winna Kościoła, nie zamykać się w kręgu li tylko akcji pobożnej wszelkiego rodzaju, ale w społeczeństwie o wysokiej kulturze katolickiej winna koniecznie wyjść także i ze świeckiej inicjatywy i śmiało zająć zdecydowane stanowisko na terenie spraw świeckich, wprowadzając wszędzie dyrektywę ujmowania tych spraw i traktowania w duchu katolickim, chociażby wyraz „katolicyzm" nie był wcale ostentacyjnie, firmowo, reklamowo na sztandarze takiego pisma wydrukowany. Przeciwnie, organ taki strzedz się pilnie powinien przed nadużywaniem tego wyrazu nietylko w nagłówku, ale i w swych artykułach. Katolicyzm promieniować ma z samej jego treści i zdecydowanej, lapidarnej dyrektywy oraz stanowiska, jakie zajmie wobec różnych spraw i wypadków. Iść musi w społeczeństwo z ideą konsolidacji, pozytywnego, konstruktywnego czynu, mniej zajmując się polemiką, ile przedewszystkiem zapładniając inicjatywę pozytywnych zamierzeń i faktów dokonanych w duchu ideologji katolickiej, solidaryzmu społecznego i ogólnej użyteczności państwowej.

Niezmierną doniosłość prasy katolickiej — prawdziwie katolickiej — podkreślił niedawno Pius XI w przemowie do przedstawicieli dziennikarstwa. Biorąc w rękę krzyż swój na piersiach, powiedział: „Przykładam tak wielką wagę do roli prasy katolickiej, że gotówbym sprzedać ten krzyż złoty, aby jej dopomóc".

Sprawa więc oczywista, bezsporna w swej konieczności, najwyższym poparta autorytetem i od dawna u nas dyskutowana. Wiemy dobrze, że była w ostatnich latach niejednokrotnie przedmiotem poważnych narad i usiłowań w różnych zespołach. A jednak naród nasz — choć się niby mieni przedmurzem wiary — tak widocznie jest podzie-

łony rozterką, że koniec końcem nie zdobył się dotąd na świecką prasę katolicką, w pełnem tego słowa zaczeniu. Prawda, że przedsięwzięcie to niełatwe, tak pod względem zasadniczym, jak i finansowym. Ale to też pewna, że naród katolicki, jeśli istotnie jest w wierze swej żywotny i rozumie dobrze, iż katolicyzm jest u niego nietylko wiarą, ale również i głębszą historyczną racją stanu, zdobyć się musi na stworzenie takiego organu.

Jan Bobrzyński.

WOJNA, WOJNA!...

Wojna, wojna! Nie było w Litwie końca ziemi,
Gdzieby jej huk nie doszedł...

Tak maluje Mickiewicz pierwsze wieści o wyprawie Napoleona na Rosję. Nawiasem mówiąc — bo to nie należy do tematu — trzeba wyjątki z naszych prawdziwie wielkich autorów pilnie przy każdej okazji cytować, bo niebawem może zarozumialczy genjusz pedagogiczny różnych dzisiejszych nowatorów, chcących przekreślić historję, a zacząć świat od siebie, wypędzi ze szkół naszych kolejno wszystkie wielkości klasyczne, zastępując je różnemi najnowocześniejszemi małościami o kierunku, ogólnie biorąc, futurystyczno-snobistycznym. Ale to tylko uboczna uwaga.

Natomiast chodzi głównie o to, że „wojna" nie schodzi z łam prasy codziennej. Redaktorzy, względnie reporterzy zbroją się dzień w dzień w bomby gazowe i maski przeciwgazowe i dosiadają samolotów bojowych, wznosząc się — oczywiście tylko na łamach swej gazety — na wysokość siedmiu do ośmiu kilometrów, aby z stamtąd bombardować... hitlerowski Berlin. Codziennie, przy pierwszem śniadaniu, wydaje nam się przy lekturze tych dziennikarskich wyczynów gorżką kawa poranna, jakgdyby podstępna kucharka zaprawiła ją potrójną dozą cykorji!

Ma to być niby „przygotowanie" społeczeństwa na okropności tuż, tuż grożącej wojny, która napewno wybuchnie na wiosnę roku... no, mniejsza o to... dość, że z jakąś wiosną wybuchnie. Bo, gdyby to nie groziło, to o czem właściwie mogłyby pisać dzienniki polityczne? Czem wzbudzać święty dreszcz sensacji u czytelników? Bruko-

we pisemka mają swe brukowe sensacje, zbrodnie i t. p. — ale czem może porwać dzisiaj poważniejszy dziennik polityczny swych prenumeratorów?!

W polityce nic się takiego nie dzieje (chociaż dzieje się wiele!), co mogłoby stanowić przedmiot sensacyjnego reportażu. Milkną coraz bardziej tak ongiś gadatliwe parlamenty, chorujące prawie wszędzie na świecie na uwiąd starczy, a zastąpione różnymi systemami dyktatur, które — bardzo rozumnie — niewielką okazują ochotę puszczania barwy przed lada dziennikarzem lub reporterem. Dobrze robią, bo głupia to zasada, uchwalona niby przez „zwycięską w wojnie światowej demokrację“, żeby się przedwcześnie wygadywać z zamierzeń politycznych. Wszak lada przedsiębiorca zachowuje w tajemnicy przed konkurencją swe zamiary, a tu demokracja i sejmokracja i prasokracja wymagają od rządów państw, aby zgóry odsłaniały wszystkie swe karty dla zaspokojenia ciekawości każdego demokraty, czy dziennikarza, no i przytem także i... przeciwnika. Dowcipna zasada, ale mądrze robią dyktatury, że jej nie uznają. Bo dopiero mielibyśmy wojny..!

Ale o wojnie z Niemcami mówi się u nas od pewnego czasu jednak poważniej, niż w notatkach reporterskich. Szeroki ogół, łykając wieści o bezbrzeżnie zarozumialczej agresywności hitleryzmu i o różnych rzeczywistych okropnościach i nonsensach, jakie dzieją się w „państwie bojaźni Bożej“, zaczyna istotnie nastrajać się wojowniczo i myśleć na serjo o obronie, a poniektóry nawet i o konieczności ataku prewencyjnego, gdy Niemiec zbyt się rozhardzi.

To dobrze. Nie możemy temu się sprzeciwiać, bo leży to także na linji systemu, zalecanego z dawna przez „Naszą Przyszłość“ — wbrew gospodarczym, zawodowym pacyfistom — że jedynym, naprawdę skutecznym sposobem do utrzymania poprawnych stosunków z Niemcami jest nie kłanianie się im i uspakajanie, ale ciągle w ich stronę wyciągnięta pięść opancerzona. Tego wymaga niemiecka psy-

chika, wyhodowana od wieków w kulcie siły. Innego „systemu dyplomatycznego“ wogóle nie rozumie i każdą pojednawczo wyciągniętą dłoń uważa za dłoń błagalną, a więc ją lekceważy i depcze.

Takim już jest każdy Niemiec — stanowczo każdy — od urodzenia. I na to żadna słowiańska, skłonna do miękkości i błogiego kwietyzmu taktyka i dialektyka nie pomoże. Z tem też w praktycznej polityce trzeba się liczyć.

Polska zrobiła narazie dobre pociągnięcie w pakcie londyńskim. Zawarła w nim z państwami bałtyckiemi, Rumunją, Turcją i Rosją z dodatkami pewien rodzaj „entente cordiale“, dobry sam w sobie, a jeszcze lepszy, jako obuch na Niemca. Żadnej też nie ulega wątpliwości, że tem pociągnięciem, nie mówiąc już o innych przyczynach, autorytet Polski wzrósł niemało. Zdziwiła się zpewnością zachodnia Europa, tak często agnostyczna w polskich sprawach i stosunkach, że Polska zaczyna prowadzić politykę samodzielną. Ha, no—powiada sobie niejeden tamtejszy dyplomata— skoro tak, to widocznie musi być dość silna, bo nawet nie pyta się o pozwolenie Ligi genewskiej!

Nawet Foreign Office w Londynie, widząc fakt zawarcia paktu w swem własnem mieście, pośpieszył z odpowiednią reorganizacją swą wewnętrzną, stwarzając osobny departament dla spraw niemieckich i polskich. A więc polskie sprawy zajmują już uwagę całej połowy departamentu angielskiego ministerstwa spraw zagranicznych!

Istotnie i my mamy wrażenie — i to dobrze uzasadnione — że Polska jest dość silna i to zarówno własną, realną siłą, jak i agresywną słabością swego przeciwnika. Mamy pono i dość animuszu bojowego, mimo t. zw. ciężkich czasów, mamy też pono i dość narzędzi i przygotowanych sposobów dla należytej „Odprawy posłów niemieckich“, którzyby zapragnęli uszczęśliwić nas panowaniem swej zhitleryzowanej kultury i wyższością swej piwodojnej rasy. „Przyjdź i weź!“ — możemy odpowia-

dać spokojnie na każdy nowy wypad djalektyczny germańskich rasowców, tak, jak odpowiedział pewien wódz rzymski na bezczelne żądania zarozumiałego przeciwnika.

Czy jednak w danej, konkretnej sytuacji wojna naprawdę grozi? Zapewne, wszystko jest w Europie możliwe wobec niesłychanie od niepamiętnych czasów skomplikowanej machiny dyplomatyczno-psychiczno-kupieckiej synów Albionu. Od dwóch wieków ingeruje Anglja czynnie w sprawy europejskie z wyraźnym zawsze ostatecznym celem: osłabić militarnie i gospodarczo chwilowo najsilniejszych, a potem wziąć ich w opiekę, aby zachować ich sobie, jako rynek zbytu. Nie tłumaczymy tego bliżej, bo od tego są podręczniki historji, do których każdy w razie potrzeby zajrzeć może. Ale właśnie ten tak prosty cel odwiecznej angielskiej polityki kontynentalnej, odpowiadający zasadzie divide et impera, powoduje niesłychane skomplikowanie poszczególnych pociągnięć dyplomacji angielskiej, z którą dotąd tylko jedne Stany Zjednoczone (bo też pochodzenia angielskiego) dawały sobie radę, żądając po prostu zwrotu długów i nie traktując zbyt na serjo różnorodnych propozycji i umizgów angielskich.

Ale Stany Zjednoczone, to potęga i to bardzo korzystnie położona, potęga nawet tam, gdzie nie sięga bezpośredni wpływ zachłanności angielskiej, mianowicie na wschodnich wybrzeżach Pacyfiku. Natomiast biedna, rozproszkowana i samobójczo roznacjonalizowana Europa, tocząca krwawe wojny i niszcząca raz po raz swe zasoby, ludzi i owoce pracy w zatargach o drobne skrawki ziemi, których Amerykanin nie byłby nawet wstanie dojrzeć na mapie, a które rzekomo mają decydować o losach i potędze danych państw europejskich, w daleko gorszem znajduje się położeniu wobec angielskich dyplomatów i business'manów, którzy, konspirując bezpiecznie na swej wyspie, ukazują zastraszonej Europie niezliczone paszcze swych dział okrętowych.

Nikt nigdy nie może być pewnym, czego właściwie chce w danej chwili polityka angielska i czyim w danym wypadku stanie się sprzymierzeńcem. I w tem właśnie — nie w buńczucznych, nieprzytomnych wybrykach hitleryzmu—ciąży nad kontynentem Europy stała groźba wojny!

Gdyby raz nareszcie polityka Anglji zajęła w sprawach kontynentu europejskiego albo bezwzględnie neutralne, albo w jakimkolwiek kierunku zdacydowane stanowisko — jakiego nie zajęła stanowczo nawet przed wybuchem wojny światowej wobec swych aljantów! — wówczas moment bezpieczeństwa na kontynencie wzmocniłby się odrazu w sposób niemal decydujący. Ale niestety, Anglja tego nie chce, wyraźnie nie chce, bo nie odpowiadałoby to jej interesom, jako arbitra spraw kontynentalnych i generalnego spadkobiercy wszystkich korzyści wojennych, wynikających w ostatecznym rezultacie z konfliktów między państwami Europy.

Różne były przyczyny wojny światowej, ale nie mylimy się z pewnością w przewidywaniu, że kiedyś objektywny sąd historji najgłówniejszą winę złoży na Anglję. I w tem już dzisiejsi historycy zaczynają się zgadzać, że zmarły niedawno sir Edward Grey mógł był wybuch wojny zahamować oświadczeniem w Petersburgu i Paryżu neutralności, albo w Berlinie gotowości wojennej Anglji. Nie uczynił tego, chociaż pozatem niby proponował pokojowe załatwienie konfliktu — nie uczynił, bo polityka angielska pragnęła, aby kontynent Europy znowu się skrwawił i osłabił z besporną korzyścią Anglji.

Na pytanie więc, czy grozi na serjo nowy konflikt wojenny Europie — oczywiście wszecheuropejski, bo lokalne wojny są dziś już trudne do pomyślenia — odpowiedzieć możemy stanowczo, że leży to naprawdę w ręku polityki angielskiej. Zechce Anglja wojny, to wojna będzie, choćby na zewnątrz dyplomacja angielska pozornie inaczej występowała, a nie zechce, to mimo wszelkich cezarystycz-

nych pogróżek niemieckich, czy włoskich, możemy być pewni pokoju. Wszak oba państwa o ustroju faszystowskim — bo hitleryzm jest także pewną odmianą, czy imitacją faszyzmu — nie wypowiedzą nikomu wojny, na osobno lub wspólnie, bez przynajmniej cichej zgody Anglji, a już bezwarunkowo nie, mając Anglję wyraźnie przeciw sobie.

Tylko bowiem ze strony tych dwóch państw, Niemiec w pierwszym rzędzie, a Włoch w drugim, obu bardzo buńczucznie nastrojonych, może wyjść naruszenie pokoju w Europie. Nie znamy pozatem ani jednego państwa, któreby pragnęło to uczynić. Nawet Węgry i Bułgarja, których nadzieje odzyskania strat czepiają się perspektywy jakiegoś konfliktu europejskiego, nie naruszyłyby i nie byłyby zdolne naruszyć pokoju na własną rękę. Ale zarówno Niemcy, jak i Włochy, mimo całego swego reklamowego imperjalizmu, którym starają się pokryć wewnętrzne kłopoty, wiedzą doskonale, że z Anglją przeciw sobie nie będą wstanie wygrać wojny z jakąkolwiek koalicją kontynentalną, np. francusko-polską. Niemcy pamiętają chyba dobrze jeszcze skutki blokady angielskiej, a wąski półwysep włoski nie mógłby również ani chwili flocie angielsko-francuskiej stawić oporu, ani wytrzymać przez czas dłuższy bez morskiego dowozu. Dlatego atmosferę, z której wojna naprawdę wybuchnąć może, trzeba badać nie w Berlinie, nie w Rzymie, Budapeszcie lub Paryżu, ale przedewszystkiem w Londynie.

Co jednak wobec tego oczywistego stanu rzeczy znaczy cały ten rozmach agresywności niemieckiej na wszystkich polach, od nauki „rasoznawstwa“, aż do masowych zbrojeń, który tak niepokoi biurka redaktorskie w Polsce?

Jest to najniewątpliwiej system polityczny, system rządzenia, obliczony na — podtrzymanie danego reżimu przy władzy. W Niemczech panuje, z pewnymi oczywi-

ście wyjątkami, straszny kryzys gospodarczy. Niezadowolone są właściwie wszystkie sfery, bo przecież nawet i w łonie hitleryzmu objawiają się bunty. Kilka miljonów komunistów, które reprezentują obecnie właściwie sprawę robotniczą i proletarjacką, wobec upadku socjalizmu, stanowi dla każdego reżimu bądź co bądź poważny hamulec i groźne memento — zwłaszcza na wypadek wojny, a całkiem specjalnie na wypadek pierwszych niepowodzeń wojennych, zawsze możliwych. Nadto, mimo wszelkich elektryzujących sposobów, jakich II-ga i III-cia Republika niemiecka użyły w gwałtownej progresji do sztucznego podniesienia furoru teutońskiego, mimo wszelkich bębnów, piszczałek, sfastyk i wojowniczych hałasów na ulicach, przeciętny burżuj, chłop i robotnik niemiecki, psychicznie zmiażdżony rezultatem i następstwami wojny, usposobiony jest egoistycznie — pokojowo, jak to dobitnie wyraził pewien „człowiek z ulicy Berlina“ wobec piszącego te słowa w przypadkowej rozmowie o nastroju Niemców, nie wiedząc, że ma do czynienia z Polakiem:

„Wir haben‘s endlich genug! Man will schliesslich doch wieder Bürger sein!“

Wyznanie szczere, prawdziwy krzyk serca! Ten prosty berlińczyk ze średniej inteligencji ma już dość wojen, głodu, niedostatku, idei rewanżowych o jakieś tam egzotyczne dla niego prowincje kresowe, a przedewszystkiem ma dość uszczęśliwiających socjalistycznych, demokratycznych, czy dyktatorskich eksperymentów, które w imię rzekomego dobra ojczyzny za każdym razem łupią go ze skóry. Chce być nareszcie znowu spokojnie, mrówczo zarabiającym obywatelem!

Rzecz jasna, że na takiem — zresztą całkiem naturalnem i rozumnem — podłożu niedługo mógłby się utrzymać reżim jakichkolwiek powojennych arywistów, karjerowiczów i eksperymentatorów, do których taki Hitler par excellence należy. A więc trzeba w tym burżuju, głodnym

i zniechęconym do wszystkiego, a zwłaszcza do krzykliwego patrjotyzmu i do snów o niemieckim Weltreichu, wszelkim sposobem ducha bojowego rozniecić i — starodawnym carskim przykładem — skierować jego myśli i pożądliwości na zewnątrz, aby odwrócić jego uwagę od smutnego wewnętrznego położenia kraju i od bezsilności arywistycznych rządów wobec poważnych zagadnień społecznych i gospodarczych.

Stąd ta, bezprzykładna dotąd w dziejach, masowa fabrykacja trucizny moralnej i materjalnej, której terenem stały się Niemcy, stąd ten bojowy, awanturniczy, nieprzytomny w swej propagandzie nihilistycznego nacjonalizmu dziennikarz, profesor i generał, stąd ten fabrykant gazów trujących i wszelkiego sprzętu niszczycielskiego, stąd cały ten obóz zbrojny, w który zamieniają się Niemcy, stąd wreszcie ta bezbrzeżna, absurdalna megalomania rasowa, rewindykująca dla jakiejś wyimaginowanej władczej prarasy germańskiej w dalszej przyszłości państwo światowe, a w bliższej granice po Dźwinę, Dniepr i Morze Śródziemne, a bodajże i więcej.

A to wszystko w najgłębszej istocie rzeczy ad usum przemęczonego biedą, małokrytycznego burżuja, aby utrzymać u żłobu pewną sferę politycznych spryciarzy.

Bolszewizm w Rosji zrobił rzecz podobną, nawet bardziej pierwotną i oryginalną, opartą jednak więcej organicznie na psychice rosyjskiego proletarjatu i rozwoju tamtejszych pojęć i stosunków, zwłaszcza w epoce anarchji po przegranej wojnie i gigantycznych nadużyciach warstw wyższych. Faszyzm włoski postąpił też podobnie, aczkolwiek inną metodą i w innym kierunku, ale niemniej na organicznem podłożu pewnych tamtejszych potrzeb i stosunków, którym groziła anarchja. Natomiast pomysł hitlerowski jest w Niemczech niepotrzebnym społeczeństwu, nie wynika z żadnych jego potrzeb organicznych i widocznem się staje z dniem każdym, że ulgi Niemcom, ani roz-

wiązania na serjo żadnego problemu tak czy inaczej, przynieść nie może. Stoi w pośrodku między faszyzmem a bolszewizmem, które oba w niemieckiej edycji kapralskiej naśladować usiłuje. Idea z Włoch, bo Hitler jest południowcem niemieckim, a etyka, metody i odpowiedni posmak socjalny z Rosji. Nad tem wszystkiem wschodnia sfastyka na jakimś niezdecydowanym, faszystowsko-cesarsko-socjalistycznym sztandarze. A grunt w tem, aby zdrowy rozsądek niemieckiego burżuja wytrzymał widok tragikomedji, że wśród powszechnej nędzy i głodu i braku zatrudnienia dla kolosalnie rozbudowanych warsztatów przemysłowych, jakiś kapitan przywdziewa nagle szlify generalskie, a mały urzędnik pocztowy austrjacki robi w przeciągu dwóch lat kolosalną karjerę na kanclerza i dyktatora 60-miljonowego państwa! Bo w gruncie rzeczy o to przecież głównie chodzi. I w tym celu rozdmuchuje się, a nawet wprost wskrzesza z martwych najdziksze instynkta raubritterowskie, czy staroteutońskie, w duszy niemieckiej.

Nie — tego obawiać się nie mamy powodu. Tak awanturnicza impreza wojny z pewnością nie wywoła. Chodzi przecież tylko o to, aby wewnętrzne władztwo, posady i żłoby dla danej kliki małych w gruncie rzeczy ludzi ustalić. Ale niebezpieczeństwo grozi z innej strony.

Grozi ze strony pogmatwań w polityce europejskiej na skutek ciągłych bojowych wrzasków niemieckiego nacjonalizmu. Jak Wilhelm II rozniecił wkońcu ogólną wojnę li tylko brzękiem swych ostróg i rozgłośną gadatliwością bojową — chociaż wojna ta w trakcie niezakończonej jeszcze rozbudowy floty niemieckiej bezspornie nie była mu pożądaną — tak i ustawiczny, konsekwentny, profesorską mądrością popierany wrzask hitlerowców może wkońcu wystawić i tak już skomplikowaną i nieufną wzajemnie politykę wielkich mocarstw zachodnich na ciężką próbę, chociaż wybuch wojny nie leży wcale w interesie nieutrwalonego jeszcze hitlerowskiego reżimu, który świe-

żo dopiero dorwał się do władzy. Niebezpieczeństwo leży w imperjalistyczno-kupieckiej polityce angielskiej, w cezarystycznych kombinacjach Mussoliniego, który w Wiedniu chciałby wskrzesić starorzymski obóz Windobonę i nad Dunajem rekonstruować wały Trajana, a Korsykę wraz z Napoleonem reinkorporować do włoskiej ojczyzny. A sekundować chcą w tem wszystkiem małe państwa, które okrojono — prawda, że bezkrytycznie i zbyt niesprawiedliwie — po wojnie światowej.

Oto, skąd mogłaby na serjo grozić wojna, oczywiście wówczas tylko, gdyby kierownicy polityki włoskiej, angielskiej, francuskiej potracili głowy w samobójczych zamiarach. W samobójczych dlatego, że „najpewniejszy" nawet wynik wojny jest zawsze bardzo niepewny, a w dzisiejszych warunkach przynieść musi klęskę zarówno zwycięzcom, jak zwyciężonym, którzy w zapalczywej naiwności dla kogoś trzeciego, stojącego z boku, zechcą krwawić się i wyciągać z pieca kasztatny.

Ale mamy powody, aby mieć jednak pewne zaufanie do zdrowego rozsądku tych, którzy mogą na zachodzie decydować o wojnie i pokoju.

Czy z tego wszystkiego wynika jednak, żeby uśpić się w beztroskim kwietyźmie? Wcale nie. Przeciwnie, starodawne i dotąd niczem jeszcze nie zaprzeczone przysłowie doradza: chcesz mieć pokój, gotuj wojnę. Na dzisiejszym poziomie pojęć, cywilizacji i kultury nie zaszła ludzkość jeszcze tak daleko, aby załatwiać poważniejsze spory międzypaństwowe naprawdę drogą pokojową. Mogą wiązać się szczerze ze sobą tylko państwa o mniejwięcej jednakowych interesach w danej epoce i sytuacji. Porozumienia zaś między kontrahentami o interesach sprzecznych nie mogą być nigdy paljatywem przed zbrojnym konfliktem. Ludzkość nie wyszła jeszcze z okresu prymitywnych pożądań epoki kamiennej, tylko, że krzemień zastąpiła stalą, a łuk armatą. I dlatego pacyfizm jest rzeczą pochwały

godną, ale tylko pod warunkiem, że stoją za nim żelazne szeregi z bronią u nogi i to bardzo liczne. Trzeba więc w atmosferze tej nowoczesnej cywilizacji stać bardziej, niż kiedykolwiek przedtem, pod hasłem: czuwaj!

Trzeba zbroić się i gotować poważnie do ewentualnej rozprawy, jeżeli nam ją ktoś zechce narzucić, tak poważnie i w takim nastroju, jak ongiś przez ćwierć wieku gotowali się przodkowie nasi do Grunwaldu. Ale głosić wojnę od biurek redakcyjnych, to zbyteczny zapał i zbyteczna... trwożliwość. Tak to sobie bowiem Niemcy mogą tłumaczyć, a potem jeszcze na nas winę zwalać. Polska zbrojna, ale sfinksowa, będzie ich hamować, rozkrzyczana zaś animuszem bojowo-prasowym i szepcząca z przestrachem o wojnie po salonach, będzie dla hitlerowców, mimo swej woli, ein gefundenes Fressen, aby mogli blagować przed niezawsze krytycznym zachodem o niebezpieczeństwie, jakie im rzekomo z naszej strony grozi. To też publicyści nasi winni pamiętać, jaka ciąży na nich odpowiedzialność.

Ale najważniejszym i najrealniejszym hamulcem dla hitlerowskiego Drangu nach Osten i najrealniejszą podstawą autorytetu Polski w tym całym zachodnio-europejskim kotle wojenno-pacyfistyczno-politycznym są — poza efektywną naszą siłą — w pierwszym rzędzie także pewne, niezależne od zachodu, dyplomatyczne fakta dokonane. A takim faktem jest ta swego rodzaju „unja wschodnia", jaką Polska zawarła w ostatnim czasie z państwami od Bałtyku do Morza Czarnego i Bosforu, Oceanu Spokojnego i Zatoki Perskiej. Koncepcja bezsprzecznie nowa, ale ogólnem położeniem bardzo dobrze uzasadniona. Zgłębienie jej wymaga osobnej rozprawy i dlatego przerasta ramy niniejszego artykułu. Nie wątpię, że „Nasza Przyszłość" zajmie się bliżej i tą kwestją. Narazie można tu tylko wskazać, że — mówiąc obrazowo — Polska konsoliduje i zbroi wschód przeciwko ewentualnym awanturniczym atakom skłóconego ze sobą zachodu. A czyni to w ten sposób, że nie przestaje być w dalszym ciągu przed-

murzem wiary i dobrej zachodniej kultury, staje jednak niejako na czele wschodu przeciwko degeneracji i wybrykom złej zachodniej kultury. Przez to zaś stępia zarazem ostrze niebezpieczeństwa „wschodniej inwazji“, która na czele żółtych hord wyrusza również co pewien czas — zwłaszcza w sezonie ogórkowym — z łamów dziennikarskich na podbój „cywilizacji zachodniej“. Mogą się więc obecnie i ci przewidywacze uspokoić. Pakt londyński sprawił, że, narazie przynajmniej, niebezpieczeństwo inwazji żółtej rasy jest w każdym razie odsunięte.

I niemieckiej również..!

Ale mógłby nas ktoś zapytać, jakże to możemy się cieszyć z owego „sojuszu z Rosją“, skoro przecież „Nasza Przyszłość“ miała zawsze wybitnie antyrosyjskie nastawienie? Wszak niedawno jeszcze czytano na łamach tego pisma, że dla niego Rosja przedstawia się pod każdym, panującym w niej reżimem, w postaci „wiecznie na Polskę idącego sołdata z bagnetem w ręku i czapką talerzową na bakier“.

Bo tak też i jest. Nie zmieniamy w niczem naszej zasadniczej, historycznej orjentacji w perspektywie na dłuższą metę. Ale w danym, konkretnym wypadku, jako wyznawcy polityki realnej, widzimy, że ujęcie Rosji w obręb jakiegoś porozumienia całego szeregu państw, w którym Polska, jako najwyżej kulturalnie wyrobiona i najdalej na zachód wysunięta, może z natury rzeczy czołowe zająć stanowisko, jest w gruncie rzeczy pewnem s p a r a l i ż o w a n i e m n i e b e z p i e c z e ń s t w a r o s y j s k i e g o. Jest niem zwłaszcza dlatego, że w Rosji rządzą Sowiety, a nie reżim carski, lub umiarkowanie demokratyczny, a zwłaszcza nie ten głęboko polakożerczy i bezbrzeżnie zaborczy duch, jaki zieje z dzisiejszej emigracji rosyjskiej. Wpływu Sowietów na nas niebardzo się boimy, natomiast największym naszym i najniebezpieczniejszym wrogiem jest i będzie zawsze to, co tchnie dawną Rosją.

I.... K....

„WALKA KULTURNA“ W HISZPANJI.

Hiszpańskich prześladowców Kościoła [1]) znamionuje lepszej sprawy godna wytrwałość i tchórzowska obłuda. Optymistom zdawało się, że pijany paradoksyzm wściekłości przeciwkościelnej wyładuje się u tłumów zbałamuconych w wybrykach wandalizmu, a u władz w niektórych przepisach przeciwkościelnych, a ostatecznie w znanym dekrecie przeciwjezuickim z 23 stycznia 1932 r. A tymczasem, wszystko to było tylko przygrywką do walki kulturnej, która miała z całą konsekwencją i mocą rozszaleć się w ciągu r. 1933. Mimo tych wyrazistych wybuchów nienawiści przeciwkościelnej, to bezczelna obłuda! Zapewnia się otwarcie, że pragnie się pokoju z Kościołem, a dąży się tylko do stłumienia wybujałości klerykalnych w kraju, znanym z nadmiaru zakonów i duchowieństwa. Widocznie masońskie rządy nie czują się tu pewne siebie, jeżeli tak maskować muszą swoje wyraźne zamiary zlaicyzowania życia publicznego i starcia wogóle z oblicza narodu rysów katolickich.

Że masońskie i wolnomyślne żywioły opanowały Hiszpanję, wiadomo to dostatecznie z dokumentów wolnomularskich, jak to dokładnie wykazałem w XI tomie „Roczników Katolickich“. Jednak dopiero powoli się wyjaśnia, jak to się przygotowywało przewrót latami i dziesiątkami

---

[1]) Artykuły ks. N. Cieszyńskiego, dotyczące przebiegu obecnej rewolucji w Hiszpanji, zalecamy szczególnej uwadze Czytelników. Kraj to wprawdzie daleki i jego stosunki i dzieje nie mają pozornie żadnego wpływu na nasze, wielce jednak pouczającem dla nas winno być baczne studjum rozwoju tamtejszych przejawów wywrotowych, ich przyczyn i skutków, a zwłaszcza wszystkiego, co odnosi się do „walki z Bogiem“. Bo w najgłębszej swej istocie nowoczesne ruchy rewolucyjne i wywrotowe, lekceważąc zupełnie jednostkę, wypowiadają walkę Bogu, uważając Go za swego największego, najistotniejszego przeciwnika.

lat, boć sama wyrozumiałość Primo de Rivery wobec masonów, czy zbyt daleko posunięta łaskawość monarsza, takiego szerokiego powodzenia wytłumaczyć nie mogą.

Barceloński profesor, dr. A. Griero, wnika w sedno zagadnienia, kiedy stwierdza, że koła lewicowe umiejętnie i rozważnie zarzucały sieć na stanowiska najwpływowsze w kraju. Początek do powolnego odpływu fali katolickiej dały już hasła wielkiej rewolucji francuskiej. W ciągu w. XIX poziom katolicki w Hiszpanji stale się obniżał, rozumie się głównie z winy katolików, zaciekle się zwalczających w długoletnich sporach dynastycznych. Pomagali w tem dziele destruktywnem i lewicowcy. Już pierwszą republikę tworzyli ateiści w rodzaju Sanza del Rio, Aalmerona, Castelara. Do tego koła był też zbliżony Francisco Giner de los Rios, założyciel osławionej „Institucion Libre de la Ensenanza". Instytut ten, powstawszy w 1876 r., stał się ośrodkiem ruchu wolnomyślnego, tem niebezpieczniejszym, że doznawał on opieki monarchistycznych rządów liberalnych, jakkolwiek zwalczał zawsze monarchję. To też i nowocześni lewicowcy z r. 1898, jak sławni Ortega y Gasset i Unamuro, znalazłszy oparcie o ten „Instytut wolnego nauczania", jako i o „Junta de Amplacion de Estudios", wysyłali już pod koniec ubiegłego i na początku naszego wieku stypendystów na wszechnice zagraniczne. Kiedy duchowieństwo, możne i wpływowe, używało wczasów, wygrzewając się w słońcu łaski królewskiej, przygotowywano we wrogim obozie całe pokolenie odważnych i rzutkich pionierów nowej idei. Niebezpieczeństwo rozpostarło się szerokim zasięgiem. Młodzi, wróciwszy z obcych krajów, uzbrojeni w uniwersytecie dyplomy, wnet poczęli zajmować nietylko katedry uniwersyteckie, ale i najwpływowsze stanowiska po ministerstwach. Tak już pod panowaniem „Jego katolickiej Mości" Hiszpanja znalazła się na wulkanie przeciwkatolickim. Wybuch jego 14 kwietnia 1931 r. odsłonił scenę dziejową, na której głównymi aktorami było pokolenie wolnomyślnych z r. 1898. I kiedy ci ludzie dor-

wali się do władzy, przeszli oni w radykaliźmie przeciwreligijnym najśmielsze oczekiwania swoich mistrzów.

Prześladowanie Kościoła rozpoczęło się w Hiszpanji od majowego rozporządzenia z r. 1931, mocą którego wykład religji w szkole przestał być obowiązkowym. 17 marca 1932 r. usunięto wogóle naukę religji ze szkolnego nauczania. Pomijając gwałty zbałamuconego motłochu, rozszalałego wandalistyczną chucią pożogi, za którą koła rządowe ponosiły wielką część odpowiedzialności, stwierdzić należy już urzędowe prześladowanie, stałe i systematyczne, zwłaszcza w ciągu r. 1932. Mimo, że prezydentem państwa był Don Niceto Alcalà Zamora, który obejmował urzędowanie po uprzedniej Komunji św., urzędnicy wobec katolickiego duchowieństwa i społeczeństwa pozwalali sobie na dokuczliwości, któremi pochlubićby się mogły i kacyki sowieckie. Nie dziw, poznali się rychło na komedji, granej z mistrzostwem iście żydowskiem przez prezydenta, w którego żyłach płynęła złowroga krew marrannosów; opierali się też o wyraźne ustawy. Toć wprowadzono nowe ustawodawstwo małżeńskie, ukute w duchu przeciwkościelnym; zlaicyzowano cmentarze i wydano przepisy, domagające się od tego, który chciał mieć katolicki pogrzeb, uprzedniego zezwolenia urzędowego; nawet urządzanie procesji poddano rozstrzygnięciu władz miejscowych i rzeczywiście nakładano grzywny na kapłanów, wykonujących „nieprawnie“ czynności liturgiczne; surowo wzbroniono zebrań i wieców w obronie religji, własności i rodziny, a równocześnie pozwalano na przeciwkościelne zgromadzenia lewicowców. Już w r. 1932 mniej fanatyczni radykałowie w rodzaju Alvarez'a, czy Unamuny, piętnowali ten ciasny i sekciarski ucisk, nielicujący z pojęciami o nowoczesnej wolności. Mimo to wydano 23 stycznia 1932 r. osławiony dekret, znoszący zasłużony, z Hiszpanji się wywodzący zakon jezuicki.

Uwieńczeniem całego systemu masońsko-liberalnego stała się ustawa o wyznaniach i zgromadzeniach religij-

nych (Ley de Confesiones y Congregaciones religiozas) z 2 czerwca 1933 r. Dorównywa ona niemal w radykaliźmie swoim odpowiednim ustawom portugalskim i francuskim, które jednak nie weszły w życie. Przygotowywano ją już od października 1932 r. Zarysy jej przeniknęły do społeczeństwa, ostrzegał przed nią nuncjusz Tedeschini, zewsząd podnosiły się sprzeciwy, posłowie katoliccy zwalczali ją uczenie, gorąco, namiętnie; mimo wszystko uchwalono ją 18 maja 1933 r. ogromną większością, bo 278 głosami rządowymi przeciwko 50 głosom prawicy i opozycjonistów.

Oczy całego narodu zwróciły się teraz na „katolickiego" prezydenta Zamorę, który ciągle zapewniał wszystkich o swojej wierności i prawowierności. Sekretarjat stowarzyszeń religijnych wydał na łamach katolickiego dziennika „El Debate", wychodzącego w stolicy, list otwarty, skierowany do prezydenta, mocny w wyrazach i treści. Warto tu przytoczyć choćby wyjątek.

„Na mocy prawa o kongregacjach religijnych — mogą wyznawcy religji żydowskiej, mahometańskiej i buddyjskiej poświęcać się nauczaniu w szkole, wzbronione to jest tylko wyznawcom religji, ustanowionej przez Chrystusa Pana. Zezwala się marksistom i bezbożnikom budować szkoły, zakazane jest to synom słynnych Hiszpanów: św. Dominika, św. Ignacego, św. Teresy, św. Józefa Kalasantego i tylu innych założycieli zakonów. Jeśli owa tyranja, podobna do rzymskiej, zepchnie nas do katakumb i powiedzie na śmierć męczeńską, pójdziemy drogą, którą kroczyli pierwsi chrześcijanie i męczennicy. Przedtem jednak, jako obywatele sławnej Hiszpanji, chcemy skorzystać z prawa petycji, które nam przysługuje na mocy art. 35 konstytucji i zapytać p. Prezydenta, czy nie zechce skorzystać z przywileju, który mu daje art. 38, aby prawo o kongregacjach ponownie przedłożyć w Kortezach i umożliwić jego omówienie w obecności należnej ilości przedstawicieli narodu? Odwołujemy się do sumienia Waszej Ekscelencji, jako katoli-

ka, prawnika i naczelnika narodu, który w większości należy do wiary katolickiej. Milczenie Waszej Ekscelencji osądzi Bóg!“

Wszystkie te sprzeciwy, tak wyraźnie piętnujące przeciwkościelne i przeciwcywilizacyjne stanowisko ustawy, nie wywarły na „katolickim“ prezydencie dostatecznego wrażenia. Wprawdzie zwłóczył, ale ostatecznie podpisał ją 2 czerwca 1933 r., ulegając naciskowi masonerji. Tem samem ustawa weszła w życie i różni przedstawiciele rządu Azani, także po ukonstytuowaniu się nowego, głosili z emfazą konieczność ścisłego jej zastosowania.

Żeby poznać zachłannego ducha laicyzmu, który wyziera niemal z każdego artykułu nowej ustawy, warto się tu zapoznać z najważniejszymi. Na wstępie ustawodawcy stwierdzają, że nowe prawo jest rozprowadzeniem konstytucji, a zwłaszcza artykułów 26 i 27 (art. 1). Podkreśliwszy potem, że państwo urzędowo nie posiada żadnej religji, oświadczają, że wyznania mają wszelką swobodę wewnątrz murów kościelnych, ale dla każdego poszczególnego aktu poza murami muszą mieć zawsze osobne, urzędowe pozwolenie (art. 3). Mimo stwierdzenia, że zespoły religijne posiadają osobowość prawną, ogłasza się kościoły, pałace biskupie, probostwa i wielkie budynki kościelne wraz z przyległościami za własność państwa, w której skład wchodzą nawet posągi, obrazy, sprzęty kościelne, służące do celów liturgicznych (art. 11). Co gorsza, państwo może tak świętemi rzeczami, jak: monstrancje, kielichy i t. p., na podstawie osobnej ustawy dysponować (art. 2), może je nawet kazać przenieść do muzeum (art. 18). Ogranicza się też Kościół w użytkowaniu dóbr kościelnych, funduszy, legatów i wszędzie, we wszystko władze mają wgląd, tak samo w instytucje dobroczynne, kierowane przez duchowieństwo. Szczególnie zwraca się ostrze ustawy przeciwko wszystkim zakonom, nakładając im kaganiec nie tylko w szkolnictwie, ale pętając wszelkie swobodniejsze ruchy. Pod pozorem, że zgromadzenie uprawia politykę, może rząd każ-

de z łatwością rozwiązać (art. 23). Osoby zakonne po zakładach leczniczych i dobroczynnych może zastąpić świeckim personelem. Zakony zobowiązane są przedkładać urzędom swoją księgowość (art. 29). Nie wolno im się zajmować niczem, z czegoby ciągnęły zyski, nawet uprawą roli i ogrodnictwem ponad swoje codziene potrzeby (art. 29). A co najważniejsze, nie wolno im prowadzić szkół, ani przez pośredników, za wyjątkiem zakładów dla własnych uczni i kleryków (art. 30).

Jak widoczne, w zapale i szale laicyzacyjnym nowoczesne państwo wzięło na siebie haniebne oblicze reakcyjnego z przed 100 laty i gorzej, stało się, jak jeden z posłów zaznaczał przy uchwalaniu tej ustawy, równocześnie faszystowskiem, bolszewickiem i przeciwwolnościowem. To też nie dziw, że i samodzielniejsi lewicowcy, jak prof. Unamuno, napiętnowali tę ustawę. Ze stanowiska ogólnego rzeczywiście uważać ją należy jako gwałt, zadany sumieniu większości katolickiego narodu, bo najwyraźniej skierowana jest przeciwko katolicyzmowi. Zaś zdrowy rozsądek potępiają, jako objaw szaleńczego fanatyzmu i sekciarskiej głupoty, wysilającej się na burzenie kulturalnych urządzeń i uwsteczniającej rozwój całego społeczeństwa. Wystarczy stwierdzić, że po wypędzeniu z lecznic zakonnic, w których każda otrzymywała półtorej pesety za 10-godzinny dzień pracy, trzeba będzie nająć niewyszkolone zastępy świeckich i płacić każdej osobie conajmniej 8 pesetów za 8-godzinny dzień pracy. Jeszcze gorzej wyglądać będzie w szkolnictwie. Poprostu ustawa ta masońska przyczynia nowej hańby obłudnemu systemowi laicystycznemu.

Podkreślił to też z umiarem, lecz wyraziście Ojciec św. w swojej encyklice z 3 czerwca 1933 r. Przez długie miesiące okazywał on jaknajdalej posuniętą cierpliwość wobec nowej republiki. Mimo długoletnich, serdecznych stosunków, jakie wiązały Alfonsa XIII ze stolicą św., Papież nie okazał żadnej nieżyczliwości nowemu rządowi, przeciwnie, uznał rzeczpospolitą i dawał duchowieństwu

do zrozumienia, że i ono uznać ją powinno. Kiedy jednak poczęto pożogami szaleć przeciwko kościołom i pojawiły się pierwsze jaskółki walki kulturalnej, wysłał do rządu 26 maja 1931 r. utrzymaną w spokojnym tonie notę. Obrażony rząd zerwał z Rzymem dyplomatyczne stosunki, jednak nuncjusz Tedeschini pozostał jeszcze w Madrycie. Nastąpił potem rozdział Kościoła od państwa i okres wzmagającego się prześladowania. Papież czekał jeszcze przez długie miesiące, aż wreszcie puścił w świat tę wyrazistą encyklikę, skierowaną głównie przeciwko ustawie o wyznaniach i zgromadzeniach.

Zaznaczywszy na wstępie, jak drogą mu zawsze była Hiszpanja, ta „płodna Matka Świętych i misjonarzy i założycieli sławnych zakonów, ta chluba i podpora Kościoła Bożego", wyraża Ojciec św. swój smutek, że w tym kraju uczyniono taki zamach nietylko na religję i Kościół, ale i na wolność obywatelską. Tem boleśniej go to dotknęło, boć Kościół nie zwalcza żadnej formy rządu i dostosowuje się do wszelkich urządzeń, czy to „będą monarchiczne, czy republikańskie, czy arystokratyczne, czy demokratyczne". Wykazały to wymownie rozmaite konkordaty, jakie Kościół w ostatnim czasie z najróżniejszemi zawarł państwami.Walkę tę, wszczętą w Hiszpanji przeciwko Kościołowi, należy bezwątpienia przypisać nienawiści, którą przeciwko Panu i Jego Kościołowi żywią sekty, dążące do podważenia wszelkiego porządku i religijnego i społeczego, jakie się spotyka w Meksyku i w Rosji. Z kolei przechodzi dostojny autor do omówienia samej ustawy, piętnując ją, jako wyraz laicyzmu, albo apostazji społecznej od Boga. Boleje nad tem szczególnie, że nawet administrowanie Ostatnich Sakramentów i potrzeb kościelnych utrudnia się osobnymi przepisami.

„W taki sposób zmusza się Kościół do poddawania rozstrzygnięciu władzy cywilnej jego obowiązku posłannictwa Bożego i państwo przypisuje sobie prawo absolutne-

go sędziego nad czynnościami czysto duchownemi... Stąd niesłychanie smutnem stało się położenie Kościoła katolickiego w Hiszpanji. Duchowieństwu zabrano, wbrew szlachetnemu duchowi tego rycerskiego narodu hiszpańskiego, dochody jego, łamiąc zobowiązania konkordatowe i obrażając najprostszą sprawiedliwość, ponieważ państwo, które ustanowiło wysokość tych dochodów, nie czyniło z nich żadnego podarunku, tylko wyznaczało je z dóbr, Kościołowi już zabranych".

Dlatego też Ojciec św., uważając, że w obliczu podeptania praw kościelnych Stolica św. ma obowiązek bronienia ich, piętnuje i potępia takie postępowanie. Oto jego słowa: „Protestujemy więc uroczyście i ze wszystkich naszych sił przeciwko samej ustawie, oświadczając, że ona nie może mieć żadnego znaczenia i zastosowania przeciwko nieprzedawnionym prawom Kościoła".

W końcu jeszcze wzywa Papież wiernych do wytrwałej obrony z użyciem wszystkich środków prawnych, do wytężenia sił w nauczaniu religijnem, do świętego życia chrześcijańskiego i do wprowadzenia akcji katolickiej.

Z wszystkich sprzeciwów hiszpańskich zasługuje na szczególną uwagę manifest mniejszości Kortezów z dnia 3 czerwca 1933 r. Wydali go posłowie agrarjuszy i baskijsko-nawarscy, sławni ze swoich przekonań katolickich; przywódcą ich jest Gil Robles, autor manifestu. Podkreśla się tu szczególnie, jak ta ustawa kłóci się z konstytucją i przypomina, że katolickim posłom niepozwolono też korzystać z prawa apelacji do sądu prawno-państwowych gwarancji. Piętnując krzyczące bezprawie, rzucają w obojętne tłumy płomienne hasła ożywienia się w akcji wyborczej i wzywają wszystkich obywateli, by w obliczu ruiny, jaka grozi ojczyźnie, przeciwstawili się tym wyraźnym zakusom masońskim.

Wrogiego, przeciwkościelnego rządu żadne sprzeciwy nie przeraziły, ani go też wstrzymały opłakane skutki,

idące w ślad za wykonaniem przewrotnych ustaw Rzeczywiście trudno pojąć, jak daleko może zawieść takie sekcierskie zaślepienie! Już zniesienie zakonu jezuickiego pociągnęło za sobą zamknięcie 40 kolegjów, 8 wszechnic i wyższych szkół, 24 szkół średnich, 2 obserwatorjów astronomicznych i meteorologicznych. Mimo to rząd obstaje przy tem, że od października 1933 r. przechodzą wszystkie szkoły powszechne z rąk zakonnych w ręce rządowe. Mniejsza o to, że 700.000 młodzieży na razie znajduje się poza szkołą, albo pod opieką zupełnie niewyszkolonych nauczycieli, w miejsce wyszkolonych nauczycieli - zakonników, którzy bezpłatnie pracowali. Toć jedną trzecią całej młodzieży szkolnej puści się na flukta niepewne! Nic to masońskiego rządu nie obchodzi, że 50 proc. narodu, to analfabeci, że naród należy do najzacofańszych w świecie. Miast to naprawić, co dawniejsze rządy zaniedbały, pomnożyć niedostateczną liczbę szkół państwowych, rząd pędzi społeczeństwo w jeszcze straszliwsze mroki zacofania i zdziczenia.

A jak wygląda sprawa opieki społecznej i charytatywnej? Zakonnicy opiekowali się dotychczas przytułkami, gdzie było 38.000 sierot, lecznicami z 350.000 chorych, zakładami obłąkanych, gdzie było 18.000 nieszczęśliwych, przytułkami dla trędowatych, gdzie było 15.000 osób. Czy będą się mogli nadal nimi zajmować po skrępowaniu i obrabowaniu? Czy ubogie państwo, wycieńczone bezustannymi zamachami i niepokojami, rozdarte niezgodą, znajdzie odpowiednie sumy na ich utrzymanie? Boć rząd na bogactwach zakonów sromotnie się zawiódł! Czy zdąży on wyszkolić odpowiednie zespoły dla lecznic i zakładów, czy wogóle zdolen będzie zastąpić zakonnne? Dowodem, że nie, to Fontilles, gdzie po wypędzeniu jezuitów przytułek trędowatych zamienił się niemal na piekło, z powodu opieszałości i braku wyszkolenia nowych, świeckich opiekunów. A któż będzie teraz karmił te rzesze bezrobotnych, ubogich nędzarzy, któż prowadził te niezliczone tanie

kuchnie, któż wydzielał bezpłatnie z tylu aptek lekarstwa, kiedy zakonom się to wszystko uniemożliwi! Oto obraz nowoczesnego barbarzyństwa, sprowadzonego powoli, za wzorem Sowdepji, na biedną, bezbronną ludność!

Ale Hiszpanja katolicka będzie się chyba umiała lepiej bronić od ciemnego chłopstwa prawosławnego! Rzeczywiście! Rząd premjera Azani, któremu powierzono ponownie w połowie czerwca 1933 r. utworzenie nowego gabinetu, już nie czuje się tak pewnym. Przeciągnął strunę. Wykazały to kwietniowe wybory, przeprowadzone w 10.000 gmin. Dzięki temu, że wzięły w nich udział po raz pierwszy kobiety, partje rządowe poniosły w nich dotkliwą klęskę. Zdobyły bowiem tylko 5.200 miejsc, podczas gdy opozycja zajęła 9.400 placówek. Jest to zapowiedź zwycięstwa i w wyborach do Kortezów, jako i nadzieja, że w Hiszpanji z czasem nastąpić musi zmiana kursu.

Tymczasem rząd jednak czuje się na siłach, by na całej linji przeprowadzić walkę kulturną. Ucisk się bezustannie natęża. Wystarczy kilka przykładów. Tak zamknął rząd w pierwszej połowie 1933 r. przeszło 100 czasopism, czy nałożył na nie grzywny w wysokości 10.000 pesetów. W Bilbao rada miejska większością trzech głosów uchwaliła zburzenie pomnika, poświęconego czci Najśw. Serca Jezusowego. Wywoło to tem większe oburzenie, że jest to przewspaniałe dzieło sztuki, wykonane przez dwu sławnych rzeźbiarzy — odsłonięcie pomnika odbyło się w roku 1927 z udziałem 50.000 tłumu. Udało się jednak pomnik uratować dzięki orzeczeniu sądu, do którego zrzeszenia katolickie odniosły się ze skargą na radę miejską. Wyrok zapadł w chwili, kiedy już podłożona była pierwsza mina burzycielska. Warto dodać, że „postępowy" magistrat przeznaczył 10.000 pes. na zburzenie arcydzieła, kiedy brak mu było pieniędzy na utrzymanie miejscowych szkół. Kiedy w Novalperal de Pinares pewna dama udzielała dzieciom nauki katechizmu, socjaliści napadli na jej dom i roz-

pędzili dzieci, pobiwszy dotkliwie jej brata; sąd uwolnił ich od kary, a skazał ową panią na grzywnę za niedozwolone udzielanie nauki. Burzy się figury i krzyże, napada się i strzela na procesje, nakłada się kary za noszenie krzyżyków, bluźni się publicznie.

Takim sposobem żywioły lewicowe, czując za sobą oparcie w przeciwkościelnych ustawach, pchają do coraz ostrzejszej walki. Ma ona nietylko znamiona walki kulturnej, ale zdobyła sobie już haniebną sławę podobieństwa do prześladowania w Meksyku i Sowdepji. Na szczęście katolicy, którzy nie są wolni od winy, ocknęli się, przecierając oczy i ruszając na front w obronie prawiecznych ideałów i odwiecznych tradycji.

II.

Prześladowanie Kościoła było dawniej zwykle próbą, na jaką Opatrzność wystawiała wiernych, by wykrzesać z nich ducha heroizmu i zostawić wzniosły przykład po wieczne czasy. Nowoczesne prześladowania, przestając być dopustem, są często karą Bożą za winy i zaniedbania tak duchowieństwa, jak i wiernych. Długoletni pokój nadwątla prężność ducha, bogactwa i dobrobyt rozleniwiają ciało i sprowadzają nadużycia, opieka możnych tego świata wypacza wolę i wykrzywia prosty pion katolicyzmu. Zamiłowanie wczasów i ciszy każe zamykać oczy na niebezpieczeństwa, zbierające się groźnemi nawałnicami na widnokręgu.

Bezwątpienia i katolicy hiszpańscy, bluszczem się wijący dokoła wspaniałego tronu monarszego, zbytnio zaufali jego trwałości i niepożytości, a za mało wspierali się o własne mięśnie, mózgi i serca. Przepotężne i przewspaniałe świątynie, rozśpiewane tłumy po procesjach i pielgrzymkach, niezliczone sznury księży i zakonników, bogate i kwitnące klasztory, urocze zwyczaje kościelne i przebogate tradycje — wszystko to składało się na przepiękną

fasadę Kościoła w Hiszpanji. Lecz ktoby zajrzał do wnętrza, nie tylko na rozjarzone ołtarze, ale i w mroczne kaplice, wgłąb konfesjonałów i na wysokość kazalnic i w serca i umysły dziatek, prostaków i wykształconych, u tego nastrój zachwytu opadłby do zdziwienia, a często do litości i przerażenia.

Zaniedbania i winy, rozpięte szeroko, jako pajęczyna, na misternych sklepieniach gotyckich i maurytańskich! Stwierdzałem już, że przez ciąg XIX wieku poziom katolicyzmu stale się obniżał w Hiszpanji. Winę ponoszą tu nietyle rządy liberalne, powtarzające się od czasu do czasu, ile opieszałości i niedbalstwa różnorodne ze strony katolików. Zastój i zacofaństwo na wielką skalę. Najzwyklejsze indziej reformy uważa się tu za powiew protestantyzmu, czy liberalizmu. Przytem wyraźne zaniedbanie w duszpasterstwie i szkolnictwie.

Podczas, kiedy przy katedrach roiło się od licznego duchowieństwa, po dalekich wsiach niejeden duszpasterz biedził się w zarządzie dwóch parafji. Podobnie brak kościołów i księży po przedmieściach. Zbytni kładziono nacisk w bractwach i kongregacjach na nabożeństwa nadzwyczajne, a nie pilnowano dostatecznie, by wierni wypełnili obowiązek niedzielny, czy uszanowali spoczynek świąteczny. Potrzeba było latami całemi wydawać ustawy, by w katolickim kraju przypomnieć, że w niedzielę nie należy pracować, a jednak tych ustaw nie przestrzegano należycie. Nie zaopiekowano się dostatecznie rzeszami inteligencji i mężczyzn. W takiej Barcelonie, mieście, liczącem około 700.000 mieszkańców, praktykuje 5 proc. mężczyzn, wielu styka się z kościołem tylko trzy, czy cztery razy w życiu: przy chrzcie, pierwszej Komunji św., ślubie i pogrzebie. Znajomość prawd wiary świętej była powierzchowna.

Źródła tego smutnego zjawiska należało szukać w wadliwej nauce religji, która w szkole była zupełnym kopciuszkiem. Według Reglamento z 1838 r. uczyli religji

nauczyciele świeccy, lecz zgodnie z ustawą z 1857 r. pod nadzorem proboszcza, który mógł raz w tygodniu zachodzić na egzamin dzieci. Niestety, proboszczowie zaniedbywali się często, a kiedy później chcieli podjąć ten zwyczaj, uważali to nauczyciele za niepotrzebną i przykrą ingerencję. Uczono katechizmu w niedzielę i po kościołach, ale i ta nauka, ograniczona do pracy pamięciowej, nie mogła wystarczyć.

Jaskrawo wprost rzucał się w oczy słaby udział duchowieństwa w pracy naukowej, tem jaskrawiej, że pewnie, wyłączając Włochy, niema narodu na świecie z taką obfitością księży i zakonników. Według Anuario Ecclesiastico z r. 1930 liczyła Hiszpanja z 22 milj. mieszkańców samych księży świeckich blisko 32.000, w tem 1.230 kanoników i około 3.000 beneficjatów. Na jednego księdza wogóle przypadało mniej więcej 400 dusz, więc zaprawdę duchowieństwo pracą duszpasterską nie było przeciążone. A mimo to ruch naukowy słaby! Po wszechnicach niema wydziałów teologicznych, w ostatnich latach poczęto erygować osobne katedry teologiczne, ale i ta inowacja nie przyczyniła się wiele do ożywienia samodzielnych badań teologicznych. Ogłoszono wprawdzie sporo prac, ale to były przeważnie tłumaczenia z francuskiego, włoskiego, niemieckiego. Znachodziły się i oryginalne studja autorów hiszpańskich, zwłaszcza z zakresu marjologji i neotomizmu, ale na ogół duchowieństwo zostało w tyle poza świeckimi w zainteresowaniu naukowem. Przez to traciło stale wpływ na kierownicze warstwy, jak już podkreśliłem.

Podobnie brak było zrozumienia i dla pracy społecznej. Robotików, garnących się do Kościoła, wpychano w szeregi bractw, krępowano ich dążenia do polepszenia sobie dobrobytu i stąd samodzielniejsi szukali oparcia w socjalistycznych związkach zawodowych. A kiedy nie pozwolono im wstępować do sindicatos libros, odstręczali się łatwo wogóle od Kościoła. Przed dziesiątkiem lat objeż-

dżał ruchliwy społecznik argentyński, biskup dell'Andrea, półwysep iberyjski i nawoływał w wykładach publicznych do podjęcia tej palącej kwestji. Niestety, głos jego stał się najczęściej głosem wołającego na puszczy.

Powoli jednak budziły się koła katolickie pod wpływem Angelo Herrery i jego dziennika „El Debate". Trudne miał mąż ten stanowisko wobec rozmaitych ośrodków zacofania, ale rewolucja otwarła katolikom wreszcie oczy na potrzebę reform. Znalazł więc poparcie w swoim Accion Nacional, Narodowym Kat. Związku propagandystów, który stał się ogniskiem wszelkiej inicjatywy, zmierzającej do dźwinięcia poziomu katolickiego i stworzenia obrony przeciw zakusom rządowym. Iście opatrznościowego męża powołano na prezesa akcji katolickiej, której duchowym doradcą jest biskup Luis y Perez z Oviedo.

Drugim przywódcą bojowym był poseł Gil Robles, który stanął na czele zespołu „Accion popolar", stanowiącego oparcie dla partji prawicowych i wogóle dla politycznej akcji katolickiej. W marcu 1933 r. stworzono osobną „Konfederację hiszpańską stronnictw prawicowych". Bretonja hiszpańska, to północne prowincje baskijsko-nawarskie, gdzie szczególną popularnością cieszy się związek „Krewni i przyjaciele zakonników". 200.000-ne jego szeregi manifestowały przeciwko niesprawiedliwej ustawie o kongregacjach. W Walencji znowu powstał zespół pod nazwą „Derecha Regional Valenciana", który przez swoich 250.000 członków wywiera wielki wpływ na wschodnią Hiszpanję. II Kongres młodzieży, który się odbył pod koniec zimy 1933 r. w Santandarze z licznym udziałem delegatów i w czasie którego 3000 młodych przystąpiło do Stołu Pańskiego, odsłonił rozumny zapał katolicki i wśród szeregów najmłodszych obywateli.

Wprawdzie Hiszpan jest mało wytrwały, zmienny, łatwo się zapala i chętnie przechodzi pod ciągle nowe sztandary, czy buńczuki. Więc można się obawiać i co do ciąg-

łości nowego ruchu katolickiego. Za to z drugiej strony ten sam temperament Hiszpana nie wróży długiej przyszłości przeciwkościelnym rządom. Przyzwyczajony do swych pradawnych, pięknych tradycji, nie pozwoli na ich bezczeszczenie, tem mniej, że tak mało, a raczej nic mu się za to nie daje, a pod względem ekonomicznym, dzięki nierozumnej gospodarce władz, kraj podupada.

W kołach kościelnych odzywają się też coraz dobitniejsze głosy, wołające o odnowienie ducha. Tak 4 kwietnia 1933 r. wydał kardynał Illundcin z Sewilji list, w którym rozwodzi się o potrzebie reformy w życiu kapłańskiem, domaga się pogłębienia życia duchowego u księży i dokładności w sprawowaniu służby Bożej oraz w administrowaniu Sakramentów św. Znowuż biskup Luis Perez z Oviedo, znany asystent akcji katolickiej, w osobnym liście podkreśla konieczność zajęcia się losem upośledzonych warstw robotniczych i chłopskich i przyłożenia ręki ze strony katolików do rozwiązania piekącej kwestji społecznej. Wreszcie i nowy arcybiskup z Toledo i prymas Hiszpanji, ksiądz Goma y Tomas (ur. 19.VIII 1869), przy którego ingresie latem 1933 r. władze częściowo ostentacyjnie się nie stawiły, wobec tłumów zgromadzonych w katedrze przedłożył program przebudowy pracy duszpasterskiej i społecznej. Rozwinął go jeszcze w swoim liście „Horas graves“, gdzie piętnuje obojętność religijną.

Coraz wyraźniej zaznacza się ruch katechetyczny. Już od 20 lat pracowano nad jego zmontowaniem, jak świadczą o tem kongresy katechetyczne. Odbywały się kolejno w Valladolid (1913 r.), Grenadzie (1926 r.) i Saragossie (1930 r.). Gorące wezwanie biskupów i ostatni list okólny Ojca św. zapowiadają błogosławiony przewrót i na tem polu.

Jak duch katolicki się rozbudził i zapłonął, o tem może zaświadczyć znamienny fakt, że czerwcową encyklikę rozchwytywano w całej Hiszpanji; jednego dnia rozeszło

się 300.000 egzemplarzy. O przywiązaniu do Stolicy św. świadczą też liczne pielgrzymki, płynące do Wiecznego Miasta w pamiętnym roku jubileuszowym.

Tak więc położenie na półwyspie iberyjskim, chociaż jest groźne, nie jest beznadziejne. W ciągu r. 1933 wymierzono tu katolicyzmowi najdotkliwszy cios przez ustawę czerwcową, ale pod jego obuchem nastąpiło tem energiczniejsze rozprężenie ramion do nowego wysiłku obronnego. Przez cały kraj poszedł ożywczy prąd, budzący wszędzie nowe życie i wzywający do skutecznego przeciwstawienia się zakusom masońskim. Lecz, czy się uda je rychło zlikwidować, jak śmiało wieści jeden z naszych młodych i świeżych kronikarzy katolickich na łamach poważnego pisma, o tem należy, niestety, wątpić.

X. Nikodem Cieszyński.

USTAWA KONSTYTUCYJNA A PRAWO WŁASNOŚCI.

Ogłoszony w XXIV tomie „Naszej Przyszłości“ konserwatywny projekt konstytucji zrazu nieliczne tylko wywołał odruchy czytelników. Po zamieszczeniu jednak w XXVI tomie uwag jednego ze współautorów projektu, uwagi i krytyki posypały się gęściej; ilościowo nawet nadspodziewanie wiele, jakościowo—z czego nie jesteśmy niezadowoleni — przeważnie od licznych ...przeciwników naszego światopoglądu politycznego i gospodarczego. Stwierdzić jednak musimy, że większość naszych krytyków żenuje się wypowiedzieć swego zdania publicznie, na łamach prasy swego kierunku, choć... w innych sprawach, jak nam przecież wiadomo, nie unikają tej drogi. Nie jesteśmy w stanie ocenić motywów tej skromności, niemniej niepodobna nam wstrzymać się od wyrażenia na głos domysłu, że poza skromnością ową kryje się wyłącznie jedna przyczyna. Tą przyczyną wydaje nam się być brak pewności, czy o naszym projekcie wypowiedziały już opinję oficjalne czynniki. Tak wygląda, jakgdyby nasi szanowni krytycy woleli dopóty nie publikować swego osobistego poglądu [1]), dopóki nie wypowie się ktoś, od nich miarodajniejszy.

Nie mamy możności każdemu z autorów, w myśl życzeń niektórych z nich, na wielce interesujące listy, poparte cytatami „autorytetów“, udzielać indywidualnych wyjaśnień i odpowiedzi — również listowną drogą. Powzięliśmy przeto — w gronie współautorów naszego projektu konstytucji — postanowienie: użyczać na łamach „Naszej

[1]) Te uwagi, które wyjątkowo zostały nadesłane naszej sekcji, jako artykuły do druku, przekażemy lojalnie Redakcji Naszej Przyszłości.

Przyszłości“, zaczynając od niniejszego numeru, generalnej odpowiedzi na wszelkie uwagi łącznie. Dzisiaj pragniemy dać szkicowy obraz naszych poglądów na temat obrony prawa własności (prawa do zarobku i gromadzenia oszczędności), jako zasady, którą specjalnie staraliśmy się skonkretyzować i utrwalić w naszym projekcie konstytucji.

Zarówno uwagi i poprawki szanownych krytyków: etatystów — i to tak publicystów, jak zawodowych uczonych — tchną tym samym duchem, co usiłowania demagogów, pragnących przez utrzymanie obecnych i nakładanie nowych ciężarów i hamulców, unieruchamiających prywatną działalność gospodarczą, doprowadzić „drogą ewolucyjną“ do ustroju w istocie socjalistycznego, z jego finalną fazą: kapitalizmem państwowym — na wzór dzisiejszej Rosji. Szanowni krytycy nasi przemilczają przytem odnośnie do Polski, że już olbrzymia część wartości placówek przemysłowo-handlowych jest w posiadaniu ręki publicznej [2]). Uwagi ich pokrywają się więc ideowo z praktyczną działalnością nowatorów różnej barwy, z których najbardziej gospodarczo wykształceni mogą chyba powołać się najwyżej na „ekonomję“ przedsiębiorstw etatystycznych, których „rentowność“ [3]), mimo różnic ustrojowych, stoi niestety naogół na wysokości opłacalności przedsiębiorstw sowieckich. Tak więc jest to bardzo problematyczna legitymacja do nadawania tonu dyskusji na temat ustroju gospodarczego. Ponadto, poprawki nadesłane odpowiadają bardzo jaskrawo poglądom tych wszystkich sfer,

---

[2]) Wedle zestawień, opracowanych przez prof. Tom. Lulka, niemal połowa wartości placówek finansowych i przemysłowych należy już do państwa. A przecież państwo jest już także właścicielem olbrzymich obszarów ziemskich, zwłaszcza lasów. A i samorządy rozporządzają już także olbrzymiemi wartościami w przedsiębiorstwach przemysłowych i handlowych!

[3]) Monopole, które przynoszą pewne zyski, choć znacznie mniejsze, niż gdyby je zamieniono na półprywatne przedsiębiorstwa, są, jak to słusznie gdzieindziej określono, właściwie instrumentami do wybierania pewnych podatków spożywczych i tylko na tem polega ich „rentowność“.

które swą praktyczną działalnością podważyły prawo własności, będące organicznym fundamentem życia społecznego i wykładnikiem zasad prawdziwej wolności obywatelskiej. To prawo własności, które w dziejach ludzkości stało się podstawą potęgi materjalnej i moralnej wielu narodów, wystawione jest dzisiaj na pastwę „ustaw", które w ostatecznych swych skutkach zmierzają do zupełnej likwidacji prywatnego stanu posiadania. Tą drogą nie dojdziemy d o n a p r a w y, ale łacno dojść moglibyśmy do coraz większej radykalizacji państwowego ustroju.

Częściowo zupełne nieuctwo i brak orjentacji co do istoty rzeczy, a częściowo obłuda i samorozgrzeszanie się z świadomie popełnianego t. zw. „politycznego oszustwa", wkładają w usta demagogów hasła obrony t. zw. „wolności ludu" wzgl. „świata pracy", które wyrażają się w tworzeniu koncepcji i form zalegalizowanej grabieży własności prywatnej. Nieraz nawet z pod piór jednostek o wysokiem wykształceniu, z pod piór ludzi, którzy powołują się na swoje togi uczonych, wychodzą enuncjacje, będące w gruncie rzeczy rozwinięciem starego banału: „własność prywatna jest kradzieżą". Tragedja polega nietylko na tem, że są ludzie, mający przygotowanie, teoretycznie dostateczne do zrozumienia pewnych prawd, a prawd tych i logiki faktów, zachodzących przed ich oczyma, z przyczyny swego doktrynerskiego zaślepienia nie są w stanie zrozumieć, lecz także na tem, że społeczeństwo produkuje cynicznych rzeczników o s z u s t w a z a s a d i i d e i, oszustwa, uosobionego w jednostkach, które dla najosobistszej karjery rzucają w nieuświadomione masy obywateli rzekome „prawdy społeczne". Głoszą je, a zarazem wielokrotnie odstępują w praktyce od ich stosowania przez siebie, a zwłaszcza w stosunku do siebie. Przydybani na gorącym uczynku jaskrawego pogwałcenia głoszonych zasad, mają na swoją obronę tłumaczenie się bez zająknienia „stosowaniem odpowiedniej do okoliczności taktyki tymczasowej"!

Wobec tak jawnego nastawienia pewnych grup działaczy, publicystów, pseudo-uczonych, demagogów e tutti quanti, agitatorów, działających „pour le roi bolchévisme“, widzieliśmy się zmuszeni dać w naszym projekcie Konstytucji mocny wyraz pewnym zasadom, choćby ich wyrażenie miało pozostać na razie tylko zagłuszonym protestem przeciwko niewstrzymanemu jeszcze procesowi, zapoczątkowanemu w 1919 r., pogrążaniu w kraju eksproprjacji, które doprowadziło ludność do nędzy materjalnej, upadku ducha i marazmu. Pragniemy przeciwstawić się walce, prowadzonej przez zdradziecką i częściowo zakonspirowaną demagogję przeciwko tworzeniu się bogactwa narodowego z wysiłków umysłowych i fizycznych, a więc z p r a c y, najszerzej pojętej. Wzięliśmy sobie za zadanie oświetlenie obłudy rzekomych rzeczników „ochrony pracy“, którzy gnębią inicjatywę twórczą i ograniczają jej możność, zamiast istotnie popierać zmysł oszczędności, do której proklamowania nie wahają się wysuwać czcigodnych osób. Demaskujemy tych, co wyzuwają naród polski z cnoty oszczędności przez gloryfikację i doskonalenie wyrafinowanych metod wywłaszczania z owoców długoletniego mozołu mózgów i mięśni swych bliźnich.

Co za paradoks! Nam, którym obłudni przywódcy „świata pracującego“ zarzucają „wyzysk ludu“, „krwiopijstwo“ i inne podobne przymioty — przychodzi podnosić głos w obronie mas ludności, wygłodzonych wskutek upadku gospodarczego, do jakiego doprowadziło wrogie oszczędzaniu i opłacalności produkcji „ustawodawstwo“ fiskalne i społeczne, pochodzące z pierwszych lat po odzyskaniu niepodległości.

Nasz projekt Konstytucji wnosi w atmosfere pojęć, zakażoną miazmatami gwałtu i grabieży, wyhodowanymi w okresie kilkuletnich okrutnych zmagań wojennych, z powrotem odwieczne zasady poszanowania cudzej własności.

Nie silimy się na tworzenie rzeczy nowych w dziedzinach, któremi rządzą niezmienne prawa przyrodzone, prawa Boskie. Ateiści doszukują się z godną uwagi gorliwością dowodów historycznych, że zasady Dekalogu znane były już na wiele, wiele tysięcy lat przed „rzekomym“ prawodawcą żydowskim Mojżeszem! Nie jesteśmy aż tak biegłymi historykami, lecz chętnie godzimy się z ateistami kierunku marksowskiego na tezę, że te prawa, a więc i prawo uszanowania cudzej własności, zawarte w Dekalogu, znane i wypróbowane były na wiele tysięcy lat przed naszą erą.

Nie pragniemy też w zakresie pojęć o cudzej własności więcej, aniżeli powszechnego zrozumienia tych odwiecznych prawd, które stały się fundamentem cywilizacji.

Fundamentalne prawo obywatelskie, którego projekt opracowaliśmy, zawiera zatem zasady, odpowiadające naszym pojęciom o poszanowaniu prawa własności. Zasady te zawarte są w wyczerpujących przepisach ogólnych, objętych artykułami 18-ym i 19-ym naszego projektu.

Przypominając naszym rodakom wspomniane zasady, nie usiłujemy bynajmniej twierdzić, że np. dzisiejszy ustrój rolny stanowi ostatni wyraz doskonałości z punktu widzenia sprawiedliwości, oraz z punktu widzenia celowości w odniesieniu do zagadnienia wyżywienia ludności w kraju. Nemniej jednak uważamy obowiązującą reformę rolną za niesprawiedliwą dla wywłaszczanych i — z a w i e l c e s z k o d l i w ą d l a z a g a d n i e n i a w y ż y w i e n i a l u d n o ś c i p a ń s t w a w k a ż d e j p o t r z e b i e. Nie uważamy zagadnienia dachu nad głową ludności miejskiej za wyczerpane przez istnienie domów czynszowych z drogiemi i niehigienicznemi mieszkaniami, niemniej jednak uważamy za wysoce szkodliwe liczne przepisy w obowiązującej „ochronie lokatorów“. Obydwie przykładowo wymienione „ustawy“ ukute były więcej w celu zaspokojenia demagogicznych instynktów i dyszącej zawiści do „klas posiadających“, niż dyktowane troską o j u t r o kraju ojczystego i o dobro powszechne. Usta-

wy te wymagają przemyślanych zmian, ale zmian, do których wprowadzenia niezbędna jest qualitas umysłowa, a nie quantitas masy „prawodawców".

Zdajemy sobie sprawę z tego, że gdyby pozostawić jedynie racjonalny z punktu widzenia sprawiedliwości podatek od dochodu przy wyskalowaniu rozsądnej progresji, to dzisiaj — nawet mimo jego znacznego zwiększenia w razie zniesienia różnych kontrybucji [4]) — nie pokryłby on potrzeb budżetu państwowego. Niemniej jednak musimy zdyskwalifikować i potępić system progresywnego konfiskowania substancji majątkowej obywateli i niweczenia rentowności wszelkiej wytwórczości, gdyż nie co innego, a jedynie ten system stałego, bezwzględnego ściągania danin z substancji majątkowej obywateli jest główną przyczyną t. zw. kryzysu w Polsce.

Usuńmy więc fałsz, który ma na celu jedynie odwrócenie uwagi od istotnych powodów katastrofy gospodarczej w Polsce, nie zwódźmy obywateli polskich, że upadek gospodarczy w Polsce spowodowany jest głównie „położeniem międzynarodowem"!

Porównanie struktury gospodarczej poszczególnych państw ze sobą i rozpatrzenie się w reminiscencjach i skutkach wojny dla poszczególnych państw poucza dostatecznie jasno, gdzie i jakie przyczyny wywołały perturbacje gospodarcze, ujawniające się coraz dotkliwiej w ostatnich latach. Wiązanie gospodarczej klęski w Polsce z klęskami gospodarczemi takich gigantów przemysłowych, jak Stany Zjednoczone, lub jak Niemcy, które w dodatku — celem jak najlepszego dostosowania się do wypłacalności z długów wojennych przeinwestowały swoje warsztaty produkcyjne — jest śmieszną bajką. Nonsensem także byłoby porównywanie Polski z Bułgarją, czy z Węgra-

---

[4]) Niesłusznie podatkami nazwanych.

mi, na których wojna wyryła długotrwałe ślady natury ekonomicznej, czy też z Austrją, która, oprócz powyższych, ma na długo swoje specyficzne przyczyny rozstroju gospodarczego, zwłaszcza jako niezagojony jeszcze wycinek z wielkiego ciała gospodarczego, którem była przedwojenna monarchja. Dość zatem kłamstw o przeważającej zależności polskiego kryzysu od ogólno-światowych perturbacji ekonomicznych! Przedewszystkiem niema jeszcze w Polsce kryzysu, bo kryzys, to przecież moment przełomowy, a w Polsce daje się obserwować powolny, lecz stały dalszy upadek i niestety o doczekaniu się momentu krytycznego przy istniejącej jeszcze strukturze fiskalnej i socjalnej, pochodzącej z pierwszych lat po rezurekcji, niepodobna chyba marzyć.

W nierozerwalnym związku z zasadami obrony prawa własności, wyrażonemi w art. 18-ym i 19-ym, pozostają także zasady opieki społecznej, wyrażone w art. 22-im naszego projektu.

Usankcjonowane kłamstwo, narzucone przez świadomych doktrynerów, wmawiane jeszcze dotychczas w szeroki ogół, ma na celu wykazanie, że przymus ubezpieczeń społecznych jest najlepszy w obecnej postaci, w której również zawiścią do „klas posiadających“ wprowadzone są różne progresje na rzecz ubezpieczalni, mimo równości świadczeń na rzecz ubezpieczonych. Doskonałością ma być ten system, w którym narzucane są „dobrodziejstwa“ ubezpieczeń nawet broniącym się do ostatniego tchu przed niemi, w którym — jak każe doktryna ekspropriacyjna — nie korzystający ze świadczeń pracodawcy mają do powiedzenia właśnie o tyle mniej od pracowników, o ile więcej płacą! I ta instytucja przymusowych „ubezpieczeń społecznych“ jest, obok różnych, czysto fiskalnych instrumentów ekspropriacyjnych,

pomyślana jako dodatkowy motor, mający przyśpieszać wywłaszczenie „kapitalistów prywatnych“ na rzecz przyszłego ustroju państwa socjalistycznego, czyli kapitalizmu państwowego, wraz z niewolnictwem obywateli we władzy trustów ręki publicznej. Nie usiłowaliśmy twierdzić, że w ustroju państw cywilizowanych byłoby do pomyślenia pozostawienie olbrzymiej większości obywateli państwa bez opieki na wypadek choroby lub niezdolności (czasowej czy trwałej) do pracy. Demaskujemy jednak zakorzeniające się, jak chwast, na niwie pojęć ustrojowych kłamstwo, że system ubezpieczeń społecznych w dzisiejszej postaci jest czemś innem, jak tylko instrumentem cynicznej walki z właścicielami nagromadzonych oszczędności, walki, mającej na celu „legalne“ wywłaszczenie ich z tychże. Dzisiejsze ubezpieczenia spoełczne są takim właśnie instrumentem.

Mało kogo obchodzi to, że robotnicy mają wprawdzie ubezpieczenia, ale zato nie mają pracy, chleba i dachu nad głową. Najważniejszem wydaje się być, że ubezpieczenia są „przymusowe“, że pracowników tych ubezpieczeń nie dobiera się wedle konkursu kwalifikacyjnego, lecz wedle „klucza“ i że ci, którzy najwięcej płacą, najmniej mają do powiedzenia.

Mając na oczach takiego gatunku „dbałość o lud roboczy“, nawołujemy do skasowania „społecznych“ ubezpieczeń o charakterze przymusowym i do zaprowadzenia skomercjalizowanych ubezpieczalni, dobrowolnych, nadzorowanych przez odpowiednie czynniki. Ubezpieczalnie takie byłyby bowiem w stanie dać ubezpieczonym więcej, niż dzisiejsze przymusowe i od uczestnictwa w nich nikt nie chciałby się uchylać. Ubezpieczalnie, należycie zorganizowane, byłyby błogosławieństwem miljonów obywateli państwa, a nie tylko pewnych sfer uprzywilejowanych.

Nie mogliśmy nie wspomnieć na tem miejscu o zagadnieniu ubezpieczeń społecznych, nieco nawet szerzej, niżby tego z pozoru zachodziła potrzeba, gdyż należymy do tej części społeczeństwa, która zdaje sobie jasno sprawę z okoliczności, że f o r m a tych ubezpieczeń pomyślana jest jako instrument eksproprjacyjny, zaś treść nie odpowiada temu stopniowi użyteczności, jaką jej demagogja usiłuje przypisać. Również gospodarka finansowa i organizacja wewnętrzna poszczególnych zakładów nie jest wolna od poważnych usterek, uzasadniających stałą krytykę publiczną.

Dodatkowymi wreszcie, ale niemniej zasadniczymi przepisami, mającymi na celu przywrócenie poszanowania i zawarowania prawa własności obywateli, są przepisy, zawarte w art. 42-im i art. 119-ym naszego projektu. Ileż to szkód i strat ponosi dzisiaj niejeden obywatel, gdy organa władzy bądź to „pomylą się“ w decyzjach, mających materjalne znaczenie dla obywatela, przez to, że nie dość dobrze znają przepisy, a sprostowanie pomyłki jest niemożliwe, albo nierychłe [5]), albo w gorliwości „dbania o interes państwa“ poprostu krzywdzą obywatela [6]), gdyż przymują za podstawę decyzji domysł, że obywatel kłamie.

Jedynie niedwuznaczny przepis o prawie obywatela do „wynagrodzenia za szkodę“ w art. 42 i sankcje, zawarte w art. 119-ym, mogą zawarować szanowanie prywatnej własności, niepodlegającej sekwestratorowi na rzecz ręki publicznej, jako wyniku pracy i oszczędności obywatela — „podmiotu prawa“.

---

[5]) Powolne załatwianie odwołań obywateli od niesłusznych, zwłaszcza podatkowych decyzji, jest dla urzędników dotychczas bezkarne.

[6]) Przy wymiarze podatków zachodzi olbrzymi procent wypadków przeciążenia obywatela; obywatel ma „prawo odwołać się“, ale drakoński przepis dopuszcza egzekucję i ruinę obywatela przed rozstrzygnięciem jego skargi.

Dzisiaj niestety — obywatel jest głównie „przedmiotem ustaw“, wydanych na zasadach majoryzacji kwantytatywnej i dlatego do kryzysu, do przełomu w postępującym upadku gospodarczym, w bezrobociu, w nędzy i głodzie, jeszcze daleko.

Marksiści głoszą z szatańską uciechą, patrząc na nędzę głodnych rzesz ludzkich, że „stary porządek się wali, a w mękach rodzenia, na gruzach świata kapitalistycznego, tworzą się nowe formy bytu ludzkości“. Jest to jedno z ostatnich, jak dotychczas, kłamstw marksizmu, czy, jak wolą inni, „leninizmu“. Praw odwiecznych, naturalnych, nie zniweczy żaden przewrót. Wynalazek balonu nie skasował siły ziemskiego przyciągania, nowoczesne środki komunikacyjne „nie zmniejszyły odległości“. Ulepszenia i udoskonalenia, które przynosi nauka i doświadczenie ludzkości, służą do ułatwienia jej bytu, lecz nie do zaprzeczenia i skasowania praw wyższego rzędu. Eksperyment sowiecki poucza, właśnie dzięki tworzeniu tam sztucznie „nowego typu człowieka“, o czemś zupełnie innem, niż chcą w nas wmówić niedouczeni nowatorzy. Jesteśmy skłonni uwierzyć, że dzięki niedouctwu, brakowi doświadczenia i odpowiednich zasobów kultury, nie znajdują w swych zamierzeniach dróg i sposobów wybrnięcia z trudności, jakie w ostatnim okresie dziejów powstały w cywilizowanym świecie, w różnych krajach, z mniej lub więcej odrębnych przyczyn. Nie znaczy to jednak, aby cel, który głoszą, a którego tymi sposobami i drogami absolutnie osiągnąć nie będą w możności, nie był osiągalny zupełnie innymi środkami, przy uszanowaniu prawa wałsności, z którem z taką zawiścią walczą.

Współautor
„Zachowawczego projektu Konstytucji“.

DZIEDZICZNY CZY WYBIERALNY „ROZUM STANU“?

Jedną z najbardziej szkodliwych rzeczy w polityce jest fatalizm. Wydaje się, że niestety od stu pięćdziesięciu mniejwięcej lat Europa choruje na fatalizm; nie chodzi tutaj o wiarę w proroctwa, o uczuciowe przedstawianie sobie czegoś, o grę wyobraźni, ale jest gorzej: utwierdza się hipnotyczne, niby pseudo-racjonalistyczne przekonanie o nieuniknionem i takiem, a nie innem rozwiązaniu problemów politycznych i polityczno-społecznych. To przekonanie, choć racjonalistycznie ujmowane, jest „widzi mi się“, jest fatalizmem i to szkodliwym fatalizmem. Filozofowie, którzy wywołali wielką rewolucję francuską, działacze rewolucyjni i wszyscy wielbiciele i uczniowie katastrofy z końca XVIII wieku, rzucili w świat kilkanaście „dogmatów“, które z coraz większą siłą i z coraz większym fatalizmem świat powtarza, wyznaje i przyjmuje, tak, jakby koniecznie miały się urzeczywistniać wizje Zygmunta Krasińskiego z „Nieboskiej Komedji“.

Jednym z głównych dogmatów fatalizmu, którego ogólne miano Demokracja, jest republikanizm. Doszło się już tak daleko, że nie rozumuje się nad zaletami czy wadami monarchji, lecz przyjmuje się republikę, jako wyraz naturalny „naszych czasów“. A jednak należy pomyśleć o tem, że przeszło tysiąc lat żyła Europa, zorganizowana politycznie przez szereg dziedzicznych monarchji chrześcijańskich i w każdym wieku ludzie byli inni i monarchja była inna, choć oparta zawsze na kilku niewzruszonych zasadach, na tem, co nazywano „prawami fundamentalnemi“ królestw. Pomimo wszystkich wojen i wszelkiego rodzaju przewrotów, które się w ciągu tysiąclecia dokonywały,

„prawa fundamentalne“ pozostawały w mocy i można mówić o politycznej i dziejowej ewolucji od czasu ukonstytuowania się nowych zrębów państwowych, po upadku cesarstwa rzymskiego, aż do wielkiej rewolucji francuskiej. Pax Romana, hasło cesarstwa rzymskiego, które ocaliło rzymską państwowość przed przedwczesnym rozpadnięciem się wskutek anarchji republikańskiej, było i jest hasełm europejskich monarchji. „Le roi est apaiseur“, mówiono już w średniowieczu o królu francuskim. Cała istota chrześcijańskiego monarchizmu europejskiego zawarta jest właśnie w dziejach monarchizmu francuskiego, najwcześniej, najpotworniej i najniesprawiedliwiej obalonego, w myśl życzeń tajnych związków międzynarodowych, które dobrze sobie zdawały sprawę, że kruszenie tysiącletniego porządku należy rozpocząć od „najstarszej córki Kościoła“.

Klasyczny przedstawiciel monarchicznego legitymizmu, hrabia de Chambord (Henryk V), nakreślił w r. 1853 program następujący, któremu z punktu widzenia rozumnie pojmowanego postępu i dzisiaj nic zarzucić nie można: „Równość przed prawem, wolność sumienia, wolny dostęp dla wszystkich, którzy na to zasługują, do wszystkich urzędów, zaszczytów i korzyści społecznych, wszystkie te wielkie zasady oświeconego i chrześcijańskiego społeczeństwa są dla mnie drogie“. Tymczasem, jakich wieści nie rozszerza się o monarchji! We Francji w r. 1873, Gambetta i jego uczniowie rozgłaszali, że zapanują takie stosunki, jak po zniesieniu Edyktu nantejskiego i że zostanie wprowadzona pańszczyzna (sic!); przecież Ludwik XVI zrobił ministrem protestanta Neckera, przywrócił Edykt nantejski i zniósł szarwarki—la corvée—przed r. 1789). Co rok święci republika francuska rocznicę „zdobycia Bastylji“, w której wymordowano całą załogę, uwalniając siedmiu więźniów (dwóch warjatów, czterech szulerów i jednego rozpustnika); prawdopodobnie słynne pamiętniki Lingueta o katordze w Bastylji czytane są i dzisiaj przez wielbicieli 14-go lipca, którzy nie wiedzą, że gdy monarchja Lingueta

tylko na parę lat uwięziła, to za to republika ścięła mu głowę, nie pozwalając w ten sposób nic patetycznego napisać o więzieniach republikańskich. Najdziwniejsze i najśmieszniejsze frazesy czyta się o tendencjach ustroju monarchicznego. Oskarża się królów o niesłychaną rozrzutność, tej rozrzutności przypisuje się wybuch z r. 1789, jednak żaden rząd królewski nie doszedł do tego, aby deficyt wzrastał z szybkością 32 tysiące franków na minutę, a ten rekord zdobył właśnie 91-szy rząd 3-ej republiki, rząd Paul Boncour'a. Często słyszy się naigrawanie z monarchji dlatego, że w wieku Ludwika XVI nie znano samochodów, ani elektryczności; a czy Cromvell jeździł samochodem i czy kazał oświetlić elektrycznością Whitehall, gdy ścinano Karola I? W jednym przeglądzie dyplomatycznym czytaliśmy kiedyś artykuł o San Marino, w którym przedstawiano, jak w tej „wolnej republice", umieszczonej wśród terytorjów królestwa włoskiego, dobrze urządzona jest kanalizacja, jakie tam drogi, jaka elektryfikacja i w końcu rozpisano się o nadzwyczajnej, godnej podziwu republikańskiej organizacji tego państeweczka. I oto właśnie królestwo, które otacza karłowatą republikę, przedstawia dzisiaj typ nowego państwa, opartego jednak na tysiącletnich zasadach religijnych, narodowych, państwowych i hierarchicznych, przyczem społeczeństwo jest zorganizowane i zszczepione z nadklasowem i nadpartyjnem państwem, bez uszczerbku dla inicjatywy i własności prywatnej. Taki nowy typ państwa, oparty na tradycyjnych założeniach, wypada dzisiaj wybrać, jeżeli się potępi mieszaninę liberalno-biurokratyczną i już socjalizującą, reprezentowaną przez monarchję parlamentarną, jeżeli się odrzuci anarchję demoliberalną (III republika francuska) i zorganizowane niewolnictwo, urzeczywistnione w Rosji sowieckiej. Monarchizm europejski był zawsze twórczy i niektórzy prawdziwi zacofańcy nazywali go niekiedy nawet rewolucyjnym; to zdanie, niesłuszne dla Ludwika XIV i Wielkiego Elektora, daje się zastosować do Piotra Wielkiego, który wszakże,

jak cała monarchja rosyjska, nie jest przedstawicielem szczerego monarchizmu europejskigo.

Wytrwale i z godnym podziwu rozsądkiem starały się zawsze monarchje postępować w myśl niezmiennych zasad, unikając skrajności, aby stworzyć i obronić jedność narodu i państwa, najprzód z arystokracją feodalną, potem z pyszną i filozofującą burżuazją liberalną, wreszcie z „klasowo zorganizowanym“ proletarjatem. Programem monarchicznym w kwestji społecznej, widocznym na obszarze całych dziejów, jest poddanie interesu klas interesowi ogólnemu, który przecież nie jest żadną fikcją, bo naruszenie jego stwarza takie nikczemne konstrukcje, jak republika wenecka i republika sowiecka. Nieszczęściem Polski było, że wygasła przedwcześnie założycielka państwa i narodu, dynastja piastowska i że królewscy dziedzice Piastów nie mieli dość siły, aby pokonać arystokrację feodalną. Uznając w całej pełni zróżniczkowania społeczne, monarchje europejskie starały się, dawno przed rewolucją francuską, zaprowadzić te „równości“, które są możliwe i sprawiedliwe. Wzór panującego zachodnio-europejskiego, Ludwika XIV, poczytywany jest za jakiegoś naczelnika dworaków, pierwszego szlachcica, jednem słowem za symbol władztwa wyższych sfer. Jeżeli przez „wyższe sfery“ rozumieć elitę i arystokrację w dosłownem znaczeniu, to rzeczywiście król-słońce jest reprezentantem panowania „sfer wyższych“. Ludwik XIV rządzącą elitę dobierał z pośród ludzi zdolnych i zasłużonych i na piętnastu ministrów, których miał w ciągu całego osobistego panowania (1661 — 1715), tylko jeden był arystokratą rodowym (duc de Beauvilliers). Rozciągający się na wszystkich podatek kapitacji, udzielany wszystkim zasłużonym order IX-go Ludwika, ułatwiony dla wszystkich dostęp bezpośredni do osoby króla — to były sprawiedliwe reformy egalitarne tego monarchy, który za to świsnął szpicrutą przed dumnymi członkami paryskiego parlamentu. Ostatnią monarchją, która uchodziła za szczególnie feodalno-arystokratyczną,

była monarchja Alfonsa XIII, co, jak tyle poglądów na dawną Hiszpanję, było niesłuszne; republikańscy mordercy kardynała Soldevilla nie wiedzieli może, że ten purpurat rozpoczął swoją karjerę od pasania trzody chlewnej, a jenerał Silvestre, częsty gość na obiadach królewskich, w młodości pilnował owiec.

Niech się opinji publicznej nie wydaje, że wyprzedza Tron w inicjowaniu poczynań polityczno-społecznych i wogóle w polityce wewnętrznej i zagranicznej. Francuska opinja publiczna była aż do r. 1870 germanofilska, a nawet prusofilska i antyaustrjacka; tymczasem już Ludwik XV doszedł do przekonania, że dom austrjacki stał się sprzymierzeńcem, gdy potęgę germańską zaczęły reprezentować Prusy; sto lat temu Ludwik Filip narażał się na niepopularność, starając się utrzymać pokój, choć nie „za wszelką cenę“, jak tego żąda dzisiaj republikańska lewica francuska; Leopold II dał Belgji olbrzymie państwo w Afryce wbrew woli ówczesnej opinji publicznej; teraz Belgja jest wdzięczna Leopoldowi za otrzymanie tak wspaniałego daru. Choć wrażenia nasze opierają się na danych o chrześcijańskich monarchjach zachodnio-europejskich, jednak naturalna i wspólna wszystkim monarchjom zaleta „stałości instytucji i ciągłości akcji“ (Jules de la Force, Théorie de l'ordre), wspaniale ujawniona została w „rewolucji“ japońskiej z r. 1868, która jest równie świetnym przykładem dobroczynnego „rewolucjonizmu“ monarchicznego, jak „rewolucja“ faszystowska. Bywały w tysiącleciu monarchicznym różne przewroty, wojny, prześladowania i morderstwa, ale to wszystko działo się w imię niezmiennych zasad i niezmiennych celów.

Ustrój monarchiczny jest zachowawczy: chce zachować religijność, naród, państwo, organiczność ustroju społecznego; Filip II hiszpański i Fryderyk II są zupełnie do siebie podobni w sprawie zasadniczego programu. Reformy, których tyle trony dokonywały w starej Europie, nigdy nie były antyreligijne, antynarodowe, antypaństwowe i an-

tyhierarchiczne. „Reformer pour conserver, c'est tout mon programme", oświadczył zmarły przed kilkoma laty przedstawiciel najstarszej dynastji, Filip, książę Orleański (Filip V). W znakomitej swojej pracy o konserwatyźmie (przetł. na język polski) lord Hugh Cecil wskazuje, że trzy są główne elementy opinji konserwatywnej: przyrodzona ostrożność i nieufność do nowości, religijność i patrjotyzm, wreszcie dążenie do mocarstwowej potęgi. Te trzy pierwiastki znajdują się także w programie każdego monarchizmu europejskiego. Nikt chyba już dzisiaj nie może z czystem sumieniem dowodzić, że ustrój republikański jest naprawdę „rządami ludu" i że republika jest lekarstwem na nędzę. Patrząc na rzeczy realnie, widzi się, że w republikach rządzi albo klika mniej lub więcej utajona i nieodpowiedzialna (St. Zj. Am. Półn., Francja, Hiszpanja, Niemcy), albo „człowiek z pięścią", rodzaj Napoleona, czy Cromwella, Marjusza czy Pizystratesa. Czy dużo dzięki republice zyskały Chiny, Portugalja, nie mówiąc już o Rosji i Hiszpanji? Turcja płaci teraz za rządy Mustafy Kemala utratą indywidualności narodowej.

Istota prawna ustroju republikańskiego, polega na tem, że naczelnika państwa może w nim nie być, a jeżeli jest on, to nie ma pewnych atrybucji, które monarcha posiadać musi; istota polityczna ustroju republikańskiego wykazuje brak czynnika nadpartyjnego, nadklasowego, patrzącego na rzeczy sub specie aeternitatis; żaden prezydent parlamentarny takim czynnikiem być nie może, bo nie prawo go powołuje, lecz wola jego zwolenników lub jego własna wola, przeciwna zdaniu tych, którzy mają swego kandydata, lub sami siebie chcą wynieść na wierzchołki władzy. Nic logiczniejszego nad okrzyk: Victoribus spolia! po każdych wyborach republikańskiego naczelnika państwa, lub po zagarnięciu przez niego władzy w inny sposób. Prezydent parlamentarny jest człowiekiem partji, albo bezpartyjnym obywatelem, nie mającym pojęcia o sprawach publicznych; prezydent dyktatorski przedstawia prze-

dewszystkiem swoje „ja“ i interesy grupy swoich, najbardziej fanatycznych lub najbardziej egoistycznych stronników; tylko monarcha dziedziczny, dzięki wychowaniu od dzieciństwa na wierzchołkach państwa i stykając się od dzieciństwa z wielkimi wypadkami krajowymi, które tworząc historję kraju, tworzą także historję dynastji, tylko prawowity dziedzic tronu może być prawdziwym przedstawicielem narodu, pojętego gentycznie i państwa, nie będącego efemerydą. Radzimy zapoznać się z dwutomowem dziełem sir Sidney'a Lee o Edwardzie VII, w którem doskonale zostało przedstawione, co to jest edukacja królewska; wspomniany już przez nas lord Hugh Cecil także zwraca uwagę na specjalne przygotowanie dziedzica tronu i pisze: „Monarcha dziedziczny różni się zasadniczo od wybieralnego prezydenta, otacza go urok całych pokoleń władców, od których pochodzi, a co ważniejsze, posiada od lat najmłodszych nabytą wprawę w postępowaniu, odpowiednią do swej godności“. Pewne niebezpieczeństwo, że monarcha może objąć rządy w zbyt młodym wieku, że wychowanie może nie być doskonałe, albo nie osiągnąć swego celu, to wszystko korygowane jest z naddatkiem przez dziedziczny rozum stanu (np. Burbonowie francuscy), przez łączenie naturalnego własnego egoizmu z egoizmem państwa, przez znajdowanie się od chwili urodzenia w innem położeniu, niż zwykli śmiertelni; dość wspomnieć o Ludwiku XI francuskim, który, jako następca tronu, był buntownikiem, o Ludwiku XV, który otrzymał złe wychowanie, lecz świetnie przedstawiał francuską rację stanu, o Fryderyku II i Edwardzie VII. „Król, to nie jest klasa, ani partja, jest on ponad klasami i nie zna partji“ (Georges Valois, La Monarchie et la classe ouvrière) — taki jest rezultat przygotowania do „rzemiosła królewskiego. Mąż królowej Wiktorji, ks. Albert, chciał, aby jego syn nie był, jako monarcha, ani snobem, ani biurokratą, ani członkiem kasty wojskowej; po upadku Hohenzollernów i Romanowych, którzy, odzwierciadlając zresztą naturę swoich ludów, nie byli do-

statecznie nadklasowymi i nadkastowymi, żaden monarcha z pośród panujących dzisiaj w Europie nie jest ani „pierwszym szlachcicem“, ani militarystą, ani najwyżej postawionym biurokratą. Prezydent Wilson, który dwukrotnie zbierał doświadczenia najwyższego republikańskiego urzędnika, przyznał, że: „Prezydent opuszcza swój urząd wtedy, gdy zaledwie zapoznał się ze swymi obowiązkami“.

Za jedną ze specjalnie „postępowych“ idei uważa się ideę pokoju powszechnego i organizowania ludzkości, Źle reprezentowany w XX wieku przez trzy dwory północne monarchizm europejski wydaje się dotąd szerokim sferom publiczności zachłannym i prześladowczym, imperjalistycznym i szowinistycznym. Imperjalizm, czyli dążenie do pochłonięcia różnych indywidualizmów państwowych przez jedno państwo i szowinizm, czyli dążenie do wynaradawiania na rzecz jednego narodu, są sprzeczne z naturą zachodnio-europejskiego monarchizmu, tak samo zresztą, jak militaryzm. Zmilitaryzowanie całych społeczeństw należy zawdzięczać wielkiej rewolucji francuskiej, w czasie której drżący przed karą zbrodniarze ogłosili: „La Patrie est en danger“ i przy pomocy terroru zrobili: „la nation armée“. Ćwierćwiekowe wojny rewolucyjno-napoleońskie, rewolucyjny wynalazek powszechnej służby wojskowej i liczne wojny XIX wieku, wywołane przez wojowniczo, w owym czasie, nastrojonych demoliberałów, nadały wiekowi XIX i naszym czasom specjalnie militarystyczny charakter, do czego w ostatnich czasach poważnie się jeszcze przyczyniło wystąpienie na arenę polityczną rozpolitykowanych dzięki republikanizmowi przedstawicieli siły zbrojnej. Dopiero po wojnach rewolucyjno-napoleońskich monarchowie zaczęli tak często występować w mundurach, że zwykłym ich oficjalnym portretem stał się portret w uniformie marszałka czy generała. Jednakże w państwach, w których idea monarchiczna była, albo jest, najgłębiej zakorzeniona, monarcha, dla którego naczelne dowodzenie armją nie jest wcale fikcją, jak dla pre-

zydenta, występuje nawet w czasie przeglądu wojsk w stroju cywilnym; Ludwik XIV i jego następcy odbywali manewry wojskowe i robili przeglądy, przejeżdżając karetą, a niedawno widzieliśmy ciekawą fotografję, jak obecny następca tronu japońskiego, coprawda konno, ale w tużurku i cylindrze, przyjmuje defiladę wojsk, maszerujących krokiem dawnej gwardji cesarsko-niemieckiej. Jak przy wszystkich zagadnieniach, tak samo w sprawie stosunku państwa do armji, republika waha się pomiędzy skrajnościami: defetyzm, albo soldateska, generał Andrée, albo generał Boulanger. Monarchja dziedziczna utrzymuje armję na właściwym terenie, gdyż ani nie potrzebuje obawiać się zamachów generalskich, ani nie potrzebuje egzaltować militaryzmu, gdyż każe oddawać cześć rycerskości. Monk, który wskrzesił monarchję angielską i Martinez y Campos, który obalił pierwszą republikę hiszpańską, otrzymali potem wysokie odznaczenie, ale nie zostali głównymi ministrami; Karol II zaczął rządzić z Kabałą (Chifford, Arlington, Buckingham, Askley, Landerdale), zaś Alfons XII zrobił pierwszym ministrem słynnego Canovas y Castillo. Marszałek Soult był ministrem Ludwika Filipa, gdy zapomniał już o swej wojskowej przeszłości, zaś Primo de Rivera, markiz d'Estella, został ministrem Alfonsa XIII nie dlatego, że był generałem, lecz z powodu swego społecznego i rodzinnego położenia (był grandem hiszpańskim i synowcem generała de Rivera, który w r. 1874 współdziałał z Martinezem). Największe i doktrynerskie wojny świat poznał dopiero dzięki rewolucji francuskiej. Ludwik XV wyraził zdanie o wojnie wszystkich monarchów starej Europy w słowach: „Prowadzę wojnę tylko dlatego, aby zapewnić memu ludowi trwały pokój". Chęć pokojowego zorganizowania stosunków międzynarodowych była stale ujawniana przez reprezentantów monarchicznej Europy. Ludwik IX dążył już w średniowieczu do pokojowego załatwiania wszelkich sporów, Henryk IV ułożył plan jakby monarchicznej Ligi

Narodów, bez wad Ligi dzisiejszej, a Święte przymierze było także próbą zagwarantowania pokoju światowego.

Idea suwerenności narodowej, która, według szeregu publicystów, nie godzi się z monarchją, jest właśnie podporą systemu monarchicznego. Potworne samolubstwa, klasowe i jednostkowe, posługujące się państwami, a nie służące im, rodzą się tylko w epokach republikańskich (Marjusz, Napoleon, Lenin). Trzeba odróżnić „suwerenność narodu“, pojętego genetycznie i „suwerenność ludu“, t. zn. ogółu wyborców — równowartościowych atomów. „Mon peuple n'est qu'un avec moi“ oświadczył Ludwik XV, monarcha zbyt leniwy i zbyt galantuomo, ale doskonale rozumiejący istotę monarchji prawowitej. Król dziedziczny jest daleko lepszym przedstawicielem narodu, pojętego organicznie, niż jakikolwiek parlament, czy też obieralny, albo narzucony naczelnik państwa. Suwerenność narodowa wymaga uzależnienia naczelnika państwa jedynie od prawa, a nie od zmiennego wyrazu woli ignorantów i karjerowiczów. Republika logiczna opiera się na zasadzie mechanicznej, na przemocy liczby (republika demokratyczna), albo na przemocy zbrojnej (republika oligarchiczna i dyktatorska).

Urzeczywistnienie zasady jakości w republice, to utopja, to bajka dla starych dzieci. Czy w St. Ziedn. Am. Półn., czy we Francji „najlepszy obywatel“ zostaje prezydentem? Znakomity znawca Ameryki, lord Bryce, stwierdza, że prezydent amerykański jest, z punktu widzenia interesu publicznego, przeciętnością i miernotą; podobnie, jak we Francji. Zamiast miernoty wydobywa się czasem w republice na naczelnika państwa jakiś nadczłowiek, który zapełnia czas swoich rządów niepotrzebnemi, szkodliwemi ekstrawagancjami. Zawsze skrajna republika waha się pomiędzy rządami zera i pomiędzy rządami potwornego wielkoluda. Wobec powyższego należy uznać za bardzo słuszne i praktyczne zdanie Józefa de Maîstre'a o władcy dziedzicznym: „Le meilleur souverain est celui que l'on a“.

Obawy, że dziedziczny monarcha może być zdegenerowany, albo zupełnie umysłowo chory, są nieuzasadnione i stanowią prosty demagogiczny frazes. Z pośród wszystkich potomków Hugona Capeta, tylko Karol VI dostał obłąkania i to nie z powodu dziedziczności, ale z przyczyny porażenia słonecznego. Jerzy III był najwybitniejszym członkiem dynastji hanowerskiej, jego obłąkanie przyszło po długich latach panowania i nie zaszkodziło wcale zdrowiu umysłowemu Jerzego IV. Ludwika II bawarskiego uznano za warjata raczej dlatego, że panował w drugiej połowie XIX wieku, mając charakter człowieka z epoki Renesansu. Regencja zaradza zresztą w wypadkach choroby monarszej. Dlaczego nie jest tak rozpowszechniona znajomość faktów o demencji prezydenckiej, jak bajek o degeneracji monarchów? W wieku XX żaden monarcha nie dostał obłąkania, lecz za to aż dwóch prezydentów wielkich republik doznało osłabienia władz umysłowych (Wilson i Déchanel). Jeżeli porównać współczesnych nam monarchów z prezydentami, to konstatuje się, że monarchowie są wyżsi nad przeciętność (co jest konieczne), a niżsi od nadczłowieczeństwa (które jest zbyteczne), zaś prezydenci są ludźmi o psychologji „l'homme de la rue", albo pozują na półbogów. Czyż nie jest daleko zdrowsza cześć dla dynastji, związanej przez wieki z narodem, z państwem, niż bałwochwalcze uwielbienie dla jakiegoś Gambetty albo Sun-Jat-Sena?

Jest rzeczą bardzo pożądaną, aby opinja publiczna była zadowolona z naczelnika państwa. Republikański system obioru naczelnika państwa wcale takiego stanu zadowolenia nie realizuje, lecz przeciwnie, stwarza, dzięki wyborom, rozdźwięk, rozdziały, a nawet śmiertelne nienawiści. Ogólne uznanie opinji publicznej daleko łatwiej jest zdobyć dziedzicznemu władcy, niż najwyższemu urzędnikowi republiki. Dynastja i nieobieralny monarcha są elementami, budzącymi maximum uczuć jedności państwowej, narodowej i społecznej. W związku z tym tematem war-

to przytoczyć słowa prezydenta R. Poincaré: „W królestwach, które nas otaczają, wybitna rola Korony nie jest przez nikogo podana w wątpliwość i gdy król się ukazuje, budzi on w duszy aklamującego go ludu ogół sił moralnych, które tworzą ojczyznę. Jest on symbolem, przed którym wszyscy się pochylają“.

Zauważmy, że aura popularis nie jest specjalnie uzdolniona do sprawiedliwego oceniania monarchów; uwielbia ona często władców mniej sympatycznych, a potępia, ulegając fałszywym wieściom, najwybitniejszych królów. Szczególnie niesprawiedliwą okazywała się zawsze opinja publiczna przy ocenie moralnej tronów. Dynastje w Anglji i poszczególni monarchowie angielscy stoją na daleko niższym poziomie moralnym, niż potomkowie Hugona Capeta i można nawet powiedzieć, że dopiero od królowej Wiktorji tron angielski zajmują osobistości, godne swego dostojeństwa; jednakże w opinji powszechnej europejskiej i nawet światowej, tron angielski przedstawiany jest w sposób, wzbudzający dlań więcej szacunku, niż dla tronu Ludwika Świętego. Z pośród Kapetyngów ogromnie popularny był właśnie może najgorszy władca, Jan, zwany Dobrym, rozrzutnik i rozpustnik, zmarły w niewoli angielskiej, na którą dobrowolnie się naraził, lekkomyślnie zmarnowawszy pieniądze, przeznaczone na wykup; zato Ludwik XIV przedstawiany jest jako paw monarszy, rujnujący Francję, aby prowadzić wojny i budować pałace, zaś o Ludwiku XV opinja powszechna wie tyle, co o pani de Pompadour. W Polsce także nie najlepsi monarchowie byli najbardziej poularni; Bolesławowi Krzywoustemu zapomniano tego, że dzieląc Polskę między synów, osłabił ją na lat dwieście, Kazimierza Wielkiego pamięta się jako „króla chłopków“, ale nie zwraca się dostatecznej uwagi na jego klęskową politykę wobec Niemców, Jana III sławi się, jako wielkiego wojownika, nie bacząc na to, że w sprawach polityki wewnętrznej nie okazał się, po objęciu tronu, mężem stanu; natomiast Bolesławowi Śmiałemu robi się

wszystkie zarzuty, jakie mu robiło feudalizujące, kosmopolitystyczne i germanofilskie duchowieństwo jego czasów; Władysławowi Warneńczykowi, który połączywszy w swej osobie trony polski i wgierski, zginął w obronie wiary, zbudowano dotąd pomik tylko w Bułgarji. Cała historjozofja demoliberalna (exemplum: paszkwilista Michelet) pracowała nad fałszywem przedstawieniem instytucji monarchicznych i monarchów, powtarzając wszystkie złośliwe dowcipy zgorzkniałego Saint-Simona o królu-słońcu i całą buduarową pocztę o Ludwiku XV. Jak można prawić bajki, zupełnie kłamliwe lub przesadne o królewskich buduarach — gdy chwali się zrodzone wśród okrutnego szaleństwa ustroje republikańskie! Czemu to nie przedostają się do wiadomości szerszego ogółu nie ulegające wątpliwości dane, że założyciele nowoczesnych republik byli to poprostu okrutni rozpustnicy (Danton), manjacy (Robespierre) i złodzieje domowi (Saint Juste); zgromadzenie nadętych ignorantów nazwano „zgromadzeniem filozofów" (francuskie Zgromadzenie Narodowe), a tłum, mordujący się wzajemnie ze strachu, nazwano „zgromadzeniem olbrzymów" (Konwencja). Dlaczego to pisze się w podręcznikach historji o metresach królów francuskich, o Loli Montez, o Rasputinie, a nie wspomina się, jakim awanturom zawdzięczają swoją śmierć Lassale i Gambetta i w jakich okolicznościach umarli prezydenci Faure i Harding (poprzednik Coolidge'a). Piękna rzecz nie może się rodzić w taki nikczemny sposób, jak podstęp, terror i oszustwo; ustroje republikańskie nie okazały się tak dobroczynnymi, aby warto je było okupić kosztem tych katastrof, które je zrodziły. W roku zeszłym obchodzono rocznicę 200-letnią urodzin Waszyngtona i przy tej sposobności prasa wydobyła wszystkie frazesy o wielkiej, wspaniałej i zachwycającej wojnie Stanów Zjednoczonych o niepodległość; co do nas, to podzielam zupełnie zdanie, które zupełnie nieoczekiwanie zostało wyrażone przez angielski Daily Herald: ten organ socjalistów angielskich oświadczył, że Waszyngton dzisiaj ża-

łowałby, iż jego ojczyzna oderwała się od krajów korony brytyjskiej. Jest rzeczą naiwną znać nazwiska metres królewskich, a nie wiedzieć, co królowie zrobili, jako naczelnicy państw. Dla monarchy osobiste uczucia są tylko epizodem, gdy tymczasem dla republikańskiego naczelnika państwa epizodem, ograniczonym okresem mandatu, jest przewodniczenie losom narodu.

„Bez żołnierzy, bez strachu, król jest słuchany", konstatowali naoczni obserwatorzy starej monarchii Ludwików. Właśnie autorytet moralny jest fundamentem ustrojów monarchicznych i dlatego chytrze i cynicznie, z punktu widzenia moralnego, atakują kalumniatorzy, paszkwiliści i frazeologowie francuski ancien régime, ten najdoskonalszy obraz chrześcijańskiej monarchji. Karol II angielski sprzedał Dunkierkę, aby móc się bawić z francuskiemi metresami, założyciel dynastji hanowerskiej, Jerzy I, przyjechał do Londynu z dwiema niemieckiemi kochankami, z których jedna była zamężna; bardzo skądinąd zasłużony Leopold II belgijski zwany był Cléopoldem z powodu słynnej hrabiny Cléo de Mérode — wszyscy ci monarchowie nie byli nigdy tak osławiani przez moralistów republikańskich, jak Ludwik XIV i przedewszystkiem ów Louis le Bien-aimé, o którym przeciętny czytelnik wie, że pojechał na wojnę z księżną de Chateau-Roux, a nie wie, że osobistej inicjatywie i uporowi tego pięknego króla zawdzięcza Francja wspaniałe zwycięstwo pod Fontenoix (maj 1744). Według nas, bezwątpienia, demoliberalizm (Belgja), a także protestantyzm i pewne związki z masonerją (Anglja) zapewiły monarchom niektórych krajów szczególną pobłażliwość. Od czasów Karola Wielkiego żaden władca ziem francuskich nie był takim absolutystą, takim prawdziwym despotą, jak Napoleon I, który jednak chodzi w aureoli liberalizmu i tolerancji i to nie przy porównywaniu go z Robespierrem, lecz z Burbonami! O tem, że Napoleon był stypendystą królewskim, uczniem szkoły w Brienne i paryskiej Ecole militaire, założonej przez p. de Pompadour (tak), o tem,

że odbierał żony mężom (p. Walewska), nie jest tak głośno, jak o bezużytecznych bitwach, które olśniewają czcicieli potwornego napoleońskiego genjuszu. Calomniez, calomniez, il en restera toujours quelque chose...

Nawet piękno, które jest wyrazem człowieczeństwa i jego wyższych aspiracji, nie znalazło uznania „cnotliwych" pisarzy, którzy wolą obrzydliwy szkielet, jakim jest wieża Eiffla, niż pałac wersalski. Zakomity teoretyk monarchizmu, Karol Maurras, bardzo słuszie stwierdza pisząc o zewnętrznem decorum monarchji, iż rzeczy poważne i wzniosłe muszą być przedstawiane poważnie i pięknie. Argument Maurrasa wystarcza do usprawiedliwienia tego, co ludziom, nie szanującym historji i państwa, wydaje się albo rzeczą komiczną, albo tylko ładną, ale nie użyteczną. Mecenasostwo sztuk, które zakwitły w ustrojach monarchicznych, jest jedną z misji tronów. Wielkie środki materjalne, którymi rozporządzają dynastje na rzecz realizowania piękna w życiu, są daleko lepiej społecznie używane, niż bogactwa, poświęcane estetycznym celom przez osoby prywatne. Czy przydają się do estetycznego wychowania społeczeństwa pałace miljarderów amerykańskich, albo fortuna takiego grand seigneura, jak markiz Boni de Castellane? Ten petroniusz 3-ej republiki umiał wydać na zabawy 60 miljonów przedwojennych franków w przeciągu dziewięciu lat, urządzając np. takie przyjęcia w Lasku Bulońskim, które kosztowały do półtora miljona franków przedwojennych; Ludwik II bawarski przynajmniej dał poznać światu Wagnera. Daleko lepszą rzeczą jest naśladowanie „wersalskiej" etykiety, niż snobizm, polegający na naśladowaniu „gigolo". Zasada jakości, przenikająca cały system monarchiczny, tryumfuje w estetyźmie monarchicznych społeczeństw, których warstwy, reprezentujące piękno i mogące sobie na nie pozwolić, ani nie sieją takiej zazdrości, ani nie zachowują się tak arogancko, jak plutokracja, ta wyższa sfera republik demokratycznych. W starej Francji każdy chciał le cordon rouge, a w dzisiejszej Anglji so-

cjalista Snowden uważa za szczyt karjery tytuł wicehrabiego; są to szlachetniejsze ambicje, niż te, które posiada plutokrata republikański, tak świetnie odzwierciedlony w znanej powieści Vautela: „Je suis un affreux bourgois“. To piękno, ta harmonja, te zdrowe ambicje były zawsze atakowane przez leniwych i okrutnych łakomców. Rewolucje są świętami dla ludzi, o nienasyconych apetytach i niezdolności do normalnego życia.

Czy rewolucje, które obdarzyły świat republikami, były konieczne i czy przyniosły rzeczywisty pożytek? Sądzimy, że rewolucje nie były wcale konieczne, a były tylko możliwe. Rewolucje groziły Europie monarchicznej ciągle, jak nieporządek grozi ciągle porządkowi, jak chaos grozi organizacji. W Anglji cudzoziemiec, Simon de Monfort, już był precursorem cromwelizmu; średniowiecze francuskie miało rewolucjonistę Etienne Marcela (zdrajcę stanu, któremu 3-cia republika postawiła pomnik) i już delfinowi Karolowi kładziono na głowę czerwoną czapkę, jak w czterysta lat potem Ludwikowi XVI. Czterysta lat! W ciągu tego czasu podnosiła się fala rewolucyjna niejednokrotnie i na szczęście była zawsze tłumiona: już za Henryka III stawiano barykady w Paryżu, już za Frondy słychać było jakby dźwięki „Paryżanki“; w Niemczech bunt chłopów za czasów Lutra, w Anglji rewolucja przeciw Karolowi I, w Rosji „pugaczewszczyzna“ świadczą o duchu buntu, który zawsze tli. Pierwsza rewolucja, która się naprawdę udała, bo skutki jej dotąd trwają, to była Wielka rewolucja francuska i wszystkie rewolucje, które udały się po jej wybuchu, doszły do skutku z tych samych przyczyn: 1) braku racjonalnego kontaktu między Tronem a warstwami intelektualnemi, 2) odsunięcia się monarchy od ciasnego koła osobistych przyjaciół, 3) nie użycia siły w decydujących chwilach. Ludwik XVI, Mikołaj II i Alfons XIII zawinili w ten sam sposób, jak Abdul Hamid i regent chiński. Ancien régime francuski powinien był tak przywiązać do siebie filozofów, jak Fryderyk II i Semiramida Pół-

nocy; rząd Rosji cesarskiej powinien był zainteresować studentów inną historjozofją, niż historjozofja materjalistyczna; Alfons XIII powinien był trochę pochlebić pysze Unamuny i jemu podobnych. Trzeba było zbombardować Paryż 15-go lipca 1789 roku (zrobił to dopiero Thiers w r. 1871), trzeba było kazać powiesić generałów, doradzających abdykację w Pskowie, trzeba było „zrobić“ wybory hiszpańskie w kwietniu 1931. Monarchja nie potrzebowała uciekać się do „komitetu ocalenia publicznego“, „czrezwyczajki“, ani „ustawy o obronie monarchji“ (co byłoby compedium do drakońskich „ustaw o obronie republiki“); monarchowie, aby obronić siebie i ten rodzaj cywilizacji, który przedstawiają, powinni byli poprostu skorzystać, jako władza legalna, ze środków legalnych, za co ogół społeczeństw byłby im wdzięczny.

A czy rewolucje były użyteczne? Pomijamy ocenę okresów czysto rewolucyjnych, w ciągu których się ścina, albo rozstrzeliwuje dziesiątki tysięcy niewinnych ofiar, oświecając egzekucje pożarami najpiękniejszych zabytków historycznych. Republika, nawet po wyjściu z okresu szaleństwa, w którym się rodzi, nie sprzeniewierza się swoim terrorystycznym i demoralizatorskim ojcom. Thiers głosił 60 lat temu: „Republika będzie konserwatywna, albo jej nie będzie“ i cóż się stało? 3-cia republika francuska stacza Francję po równi pochyłej ku spoganieniu i zbolszewizowaniu moralnemu, poprzedzającemu materjalny przewrót bolszewicki. Thiers, jeden z założycieli republiki, tylko na to poskromił komunistów w r. 1871, aby to, co oni chcieli osiągnąć odrazu, zostało osiągnięte przez republikę po latach siedemdziesięciu albo stu. Rewolucje zawsze sprawiają zawód tym, którzy popierają je, nie wiedząc, że myślą przewodnią każdej rewolucji jest: ôte toi pour que je m'y mette. Tron Karola I był lżejszy od butów Cromwella, despotą nie był Ludwik XVI, ale dopiero Robespierre i Napolein. Ludwik Filip był daleko bardziej autorytatywny od Karola X, przytem nie warto go by-

ło strącać w lutym z powodu paru trupów, gdy w czerwcu republikański generał Cavaignac położył na ulicach Paryża kilka tysięcy insurekcjonistów, później zaś przyszedł „Cezar Francji nowy“ i ustalił takie rządy, o jakich nie mógł marzyć Karol X. Jaką wolność i dobrobyt zyskała na republice Rosja i Hiszpanja, Chiny i Portugalja, tego nie potrzebujemy tutaj przedstawiać. Nawet Ameryka powinna żałować, że zniknęło, dzięki zamachowi rozpolitykowanych oficerów, cesarstwo brazylijskie; dopóki klika, która strąciła Don Pedra, miała siłę, dopóty panował w Brazylji względny spokój; ale w ustrojach republikańskich cisza zapowiada zawsze burzę i od szeregu lat jest Brazylja w rękach to tej, to innej oligarchji, to tego, to innego tyrana, a w ostatniej wojnie domowej 1932 r. zginęło przeszło 20 tysięcy obywateli.

Nasze rozważania powinny być, wydaje się nam, ogólnie znanemi i przyjętemi truizmami, ale niestety, nie są to truizmy, gdyż nawet sfery zachowawcze przesiąknięte są dzisiaj częstokroć rozkładowym fatalizmem i przesądami. Fikcje gwałtem są teraz urzeczywistniane, wywołując katastrofy. Chrześcijański monarchizm zachodnio-europejski nie był oparty na fikcjach. Jeden ze znajomych autora niniejszego artykułu, rozmawiając z nim na temat szkodliwych fikcji, podniósł, że zasada nieodpowiedzialności monarchy jest przecież fikcją. Otóż nie, fikcją są rządy ludu, fikcją jest równość i fikcją jest nieodpowiedzialność naczelnika państwa republikańskiego, ale sentencja: „Król nie może źle czynić“, wyraża rzeczywistość i odpowiada potrzebie. Naznaczony przez prawo, a nie przez jakąkolwiek aurę woli, monarcha dziedziczny jest tą najwyższą i bezapelacyjną instancją, która w sprawach politycznych jest również potrzebną, jak w sprawach dogmatów moralnych. Będąc reprezentantem suwerennego, ale pojmowanego realnie, t. zn. genetycznie i organicznie narodu, nie może być dziedzic korony sądzony przez jakiegolwiek współczesne mu pokole-

nie; rzeczywistym trybunałem dla monarchy jest Bóg poza światem, a na ziemi wyroki historji.

Konstrukcja prawna ustroju republikańskiego polega na tem, że za suwerena uważa się ogół obywateli, żyjących w danym okresie, a ściśle mówiąc, ogół obywateli, uprawnionych do głosowania. Przed tym „ludem“, przed tym „narodem legalnym“ musi być odpowiedzialny każdy funkcjonarjusz państwowy; w stosunku do najwyższych organów państwa zasada odpowiedzialności wymaga wyznaczenia ich bezpośrednio przez lud i usuwania ich przez ten sam czynnik. W republice konstytucyjnej (bezkonstytucyjną republiką jest teraz np. Portugalja) naczelnik państwa jest obierany na określony przeciąg czasu, a odpowiedzialność jego zostaje urzeczywistniona przez to, że może nie być wybrany po raz drugi, albo trzeci; w najnowszych konstytucjach demokratycznych umieszczono przepisy, w myśl których prezydent może być wskutek odpowiedzialności politycznej zmuszony do opuszczenia urzędu przed upływem normalnego okresu prezydenckiego (np. Niemcy, Hiszpanja). Niesłychana różnorodność systemów wyborczych, okresów mandatu prezydenckiego i sposobów wybierania prezydenta, przy ciągłem hulaniu wichrów zmiennej opinji i ambicji, czynią dzieje republik dziejami „widzi mi się“ tłumów, oligarchji i dyktatorów. W republikach parlamentarnych ministrowie mają władzę bez trwałości, a prezydent trwałość bez władzy; w republikach dyktatorskich prezydent ma władzę bez stałości, zaś ministrowie są jego nietrwałymi pionkami. Żądanie, aby zasada nietykalności odnosiła się do naczelnika republiki, jest dowodem kompletnego nierozumienia istoty ustroju republikańskiego; ta zasada w demokracji będzie zawsze fikcją i to fikcją szkodliwą. Najwyższy dostojnik republiki nosi znamię swego pochodzenia, a mianowicie tej okoliczności, że nie urodził się on jako przedstawiciel instytucji publicznej, jak już wyżej wskazaliśmy dla prezydenta, protektora, czy dyktatora, fakt zajmowania godności publicznej jest tylko

epizodem karjery politycznej; obieralny, czy uzurpatorski naczelnik państwa nie może być Majestatem i odpowiada przed tym, kto rozporządza siłą liczebną, albo siłą tout court. Starania, aby nadać naczelnikowi państwa republikańskiego charakter symbolu, są nierealne i tak samo nie pasują do republiki, jak ubieranie prezydenckich lokajów w białe pończochy i przejażdżki w powozie à la Daumont.

Konkluzją naszych wywodów jest, że osobistość, choćby najbardziej uzdolniona i szanowna, ale urodzona w stanie prywatnym, nie jest na swojem miejscu, zajmując stanowisko naczelnika państwa. Jeden z najwybitniejszych bezwątpienia mężów stanu, Benito Mussolini, zadowolił się stanowiskiem „oddanego sługi Jego Królewskiej Mości", jakim był Crispi i Cavour, Primo de Rivera i Canovas, Richelieu i Sully, Disraeli i Pitt, Bismark i Metternich. Dla ludzi z talentem, dla prawdziwych mężów stanu, którzy jednak są tylko ludźmi swego czasu, znajdzie się zawsze w monarchji odpowiednie miejsce, nie królewskie, ale obok króla, nie dającego się niczem zastąpić symbolu jedności i ciągłości. Twierdzenie, że monarcha, który „panuje, a nie rządzi" stanowi tylko dekorację, jest niesłuszne. Przez swoją tradycyjność i zajmowanie najwyższej godności z prawa, a nie z rodzących zamęt i nienawiści wyborów, spełnia każdy dziedziczny władca zadania, które wypływają z natury instytucji monarchicznej. Jaki jest osobisty wpływ monarchów, nawet w monarchjach parlamentarnych, wyjaśniliśmy w artykułach o Leopoldzie I belgijskim i Edwardzie VII angielskim; najlepsi obserwatorzy i badacze życia monarchy parlamentarnego, który się wydaje „lié comme un saucisson"? (wyrażenie hrabiego Chambord'a), stwierdzają, że może on dokonywać tego, czego nie zdołają dokonać ani parlamenty, ani ministrowie, ani dyplomaci, ani żadne traktaty. Dzisiaj mistyka i stronność znajdują się po demokratycznej i republikańskiej stronie barykady, zaś realizm stoi po stronie poglądów, przeciwnych

hasłom Wielkiej rewolucji francuskiej i wszystkich jej sukcesorek. Realizm instytucji monarchicznych doskonale się okazuje w bezkompromisowem wyznawaniu i stosowaniu niezmiennych zasad, będących podstawą naszej cywilizacji, przy jednoczesnej zmienności form urzeczywistniania tych zasad. Zachodnio-europejska i chrześcijańska monarchja jest stałą wyznawczynią zasady prawa własności indywidualnej i inicjatywy prywatnej, ale formy stosowania tej zasady w danym czasie są w monarchji różne: inne były owe formy w średniowieczu, inne w okresie procesu, który doprowadził do rozkwitu liberalizmu, inne wreszcie ukazuje monarchja dzisiaj (faszystowska monarchja korporacyjna).

W Polsce monarchja ma tradycje jak najlepsze. Oczywiście nie są reprezentantami polskiego monarchizmu królowie z XVIII stulecia, których wprowadził republikański plebiscyt, umożliwiający ingerencję obcych potęg. To, że obecnie jesteśmy narodem, to, że istnieje i musi istnieć niepodległe państwo na naszych ziemiach — wszystko to jest dziełem dynastji Piastów, a w szczególności Mieczysława I, Bolesława Chrobrego, Bolesława Krzywoustego, Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego. Dzieje polityczne Polski są tak jasne, że zasługi właściwego systemu i grzechy systemu szkodliwego uwydatniają się z całą wyrazistością. Monarchja dziedziczna okazała w Polsce wszystkie swoje zalety, zaś republikanizm wszystkie swoje wady. Godzi się przypomnieć w tej sprawie zdanie wielce zasłużonego myśliciela konserwatywnego, ś. p. Wincentego Kosiakiewicza: „Monarchja dziedziczna i konstytucyjna jest jednym z dogmatów konserwatyzmu“. Takiej monarchji dopominał się wielkim głosem nasz Skarga. Taką monarchję ustalić chciała w Polsce reforma 3-go Maja. Jeżeli komu, to przedewszystkiem Polakowi nie wolno być republikaninem, ponieważ to republikańskie rządy doprowadziły Polskę do upadku. Takie rządy najbardziej sprzyjają cudzoziemcowi do wciśnięcia się w walkę partji i do

skłonienia narodu, aby robił to, co jest najkorzystniejsze dla jego sąsiadów.

Sprawa monarchizmu polskiego w przeżywanej dzisiaj dobie politycznej zasługuje na specjalne studjum i w niniejszym artykule powstrzymamy się od analizowania tego zagadnienia. W każdym razie wydaje się nam, że ustrój republikański przyniósł dotąd korzyść jednemu krajowi, a mianowicie Niemcom; dzięki republice Niemcy zostali jeszcze bardziej zjednoczeni, niż dzięki Bismarkowi i korzystając z przyciemniającej umysły metafizyki francusko-anglosaskiej—„wygrywają pokój po przegraniu wojny". W niniejszym artykule chcieliśmy dać wyjaśnienia zasadnicze w sprawie, która w gruncie rzeczy nie jest w Polsce znana i przemyślana, ale za to pokryta mnóstwem przesądów, mnóstwem frazeologicznych komunałów i przedewszystkiem zaćmiona owym fatalizmem hypnotyzującym, starodawnym i niesprawiedliwym. Całość naszych wywodów, za które odpowiedzialność niżej podpisany bierze na siebie, gdyż rzecz nadaje się do dyskusji na „wolnej trybunie zachowawczej myśli państwowej", streszcza się w następującem zdaniu hrabiego Chambord'a: „Poza monarchją dziedziczną niema ani spokoju, ani wielkości, ani trwałego dobrobytu dla kraju, który, nie posiadając takiej monarchji, skazany jest przez naturę rzeczy na ciągłe przechodzenie od swawoli do ucisku i od anarchji do despotyzmu. Tylko dzięki opiekuńczej zasadzie monarchji tradycyjnej może zostać urzeczywistnione tak pożądane uzgodnienie silnej władzy i rozumnej wolności".

Leszek Gembarzewski

Zamieściliśmy ten artykuł, jako dyskusyjny i wobec powyższego oświadczenia autora, że bierze całkowitą za niego odpowiedzialność.

Wiadomo bowiem naszym czytelnikom, że kwestja monarchizmu nie stanowi wogóle przedmiotu badań i zain-

teresowania, a tem mniej programu „Naszej Przyszłości“. Nie jesteśmy wprawdzie przeciwnikami idei monarchicznej, ale problem: monarchja, czy inna forma ustroju — jest dla nas sprawą drugorzędną, w porównaniu do rzeczy pierwszorzędnej, t. j. silnej władzy i dyscypliny państwowej.

Stwierdzamy również, że autor, zdaniem naszem, niewątpliwie przejaskrawił swe wywody na korzyść ustroju monarchicznego. Prawda, że system wybieralności głowy państwa ma swoje ujemne strony, ale i dziedziczna monarchja nie jest także ideałem. W każdym razie dużo dałoby się o tem powiedzieć z prawdziwie objektywnego punktu widzenia. Wyznać musimy również, że nie jesteśmy bezwarunkowo zwolennikami pism Maurrasa, którego, jako autorytet, autor cytuje. Wreszcie nie możemy podzielać widocznych w powyższym artykule sympatji autora do faszyzmu, jako przeciwnicy wszelkich sztucznych „izmów“, narzucanych dzisiaj zbiedzonej ludzkości między obu biegunami.

Jeżeli jednak zamieściliśmy ten artykuł, to dlatego, że zawiera on wiele słusznych uwag, nad któremi warto się zastanowić w dzisiejszych czasach widocznego upadku dotychczasowych form rządzenia i konwulsyjnego niemal szukania nowych. Otóż te właśnie konwulsyjnie poszukiwane i nader sztucznie wymyślane formy nowych ustrojów politycznych i gospodarczych na całym świecie mają tę jedną walną złą stronę, że są właśnie zbyt sztuczne i przez to bezwarunkowo nietrwałe. A ten ustawiczny brak trwałości, brak jakiegoś stałego, naturalnego gruntu pod nogami, męczy ludzkość niezmiernie, paraliżuje jej swobodną twórczość i z pewością nie pomaga do wybrnięcia z kryzysu — ani ustrojowego, ani gospodarczego. Natomiast monarchizm i wogóle idea dziedziczności władzy, zapewnia w daleko większym stopniu trwałość stosunków i jest bądź co bądź pewnym paljatywem przed ustawicznym eksperymentalizmem, pod którym cierpi dzisiaj świat cały.

Tylko, że dziedziczną władzę nie wyargumentowuje się z książek, ani nie zaofiarowuje się na półmisku, czy na aksamitnej poduszce, z berłem i koroną, ale — chwyta się ją w silną dłoń i narzuca danemu społeczeństwu, nie pytając o pozwolenie. Narzuca mu się ją jeszcze kategoryczniej, niż dyktaturę, bo dyktatura nie jest dziedziczną i nie może mieć z natury rzeczy do tego pretensji, ale rozumiana jest zawsze tylko jako forma przejściowa, często niezbędna dla uleczenia ciężko chorego państwowego ustroju. Natomiast — realnie rzecz biorąc — trudno wyobrazić sobie w stosunkach XX-go wieku, żeby jakiś naród miał własnym, spontanicznym odruchem komuś dziedziczną władzę ofiarować. Może zgodzić się — nawet chętnie — ex post na fakt dokonany. Ale w każdym razie musi w danym kraju znaleźć się ktoś, rozporządzający odpowiednim autorytetem i realną siłą, tak wielką, aby władzę tę chwycić i następcom swoim móc przekazać. Bo co, jak co, ale korona tylko siłą się wykuwa.

Tego autor, zdaje się, nie wziął dostatecznie pod rozwagę! A właśnie wobec tego szczególnego warunku genezy dziedzicznej władzy z siły „Nasza Przyszłość" nie może tej formy rządzenia brać na serjo pod rozwagę w stosunku do żadnego państwa, gdzie tej siły niema, lub gdzie ona i jest, ale nie chce sama się ujawnić.

Dlatego reasumując, uważamy, że można monarchję dziedziczną akceptować, ale trudno dyskutować o rzeczy, której w dzisiejszych warunkach niepodobna byłoby nawet mutuo consensu populi sztucznie tworzyć i komukolwiek ofiarować, ale którą tylko jakiś autoryt, jakaś siła może państwu narzucić.

Jeżeli jednak ktoś z czytelników naszych jest innego zdania i sądzi, że możnaby w tym zakresie coś konkretnego powiedzieć, że dyskusja w tym względzie może coś pozytywnego stworzyć, to niech z tem wystąpi.

Redakcja.

DWIE SZKOŁY.

Państwo — to dyscyplina, a nowoczesne państwo, nie absolutystyczne, nie feudalne, ale obywatelskie — to podwójna dyscyplina. Bez dyscypliny niemasz możności prawidłowego, celowego funkcjonowania jakiegokolwiek zespołu, a tem mniej tak wielkiego, jakiem jest państwo.

Żadne inne warunki i uczucia nie zastąpią w organiźmie państwowym konieczności dyscypliny: ani patrjotyzm, ani genjusz, ani wysiłek pracy, ani męstwo. Powiedział raz pewien dowódca wojskowy: „Wolę mieć pod komendą stu posłusznych tchórzów, niż tysiąc nieposłusznych bohaterów“.

I miał zujełną rację!

Ale dyscyplina, jako naturalny rezultat silnej, rozumnej, zdecydowanej i świadomej swych celów władzy w państwie, jest dla natury ludzkiej rzeczą oczywiście niewygodną. I dlatego ci, którzy w państwie postulat dyscypliny i silnej władzy propagują, czy realizują, nie są z reguły popularni, a uznani i chwaleni chyba dopero w kilkaset lat później. Wielbi dziś cały naród, bez różnicy przekonań, np. Batorego, bo dość dawno już nie żyje i żadnej dzisiejszej partji politycznej, ani ogólnej naszej tendencji do wygody nie przeszkadza. Ale kto wie, czy gdyby żył, znaczna część wielbiącego go dziś narodu nie przeszłaby do gwałtownej opozycji pod przewodnictwem jakiegoś Zebrzydowskiego!

Tak, propaganda silnej władzy i dyscypliny państwowej róż nie ściele i nie jest dla ogółu miłą, ani popularną. Dlatego milszy jest ogółowi ów ckliwo-rzewny patrjotyzm, iście słowiański, płonący ogniem słomianym i wrzeszczący

na każdym rogu ulicy: Ojczyzna, panie, wolność, panie, niepodległość, panie! — a przechodzący natychmiast w anarchiczną opozycję, gdy zajdzie potrzeba dla tej ojczyzny i niepodległości na serjo coś zdziałać, ponieść naprawdę jakąś ofiarę, a przedewszystkiem podporządkować się jakiejś ojczystej władzy i dyscyplinie w imię dobrze zrozumianej racji stanu. Stąd też wielką popularnością i wziętością cieszyły się w Polsce te prądy i programy, które społeczeństwu schlebiały i nad jego niedolą w różnych czasach łzy rozczulenia roniły. Taki Zagłoba, który wprawdzie umiał czasem machnąć szablą i ściąć jakiegoś Burłaja, ale pozatem zżymał się na każdą myśl o dyscyplinie i zalecał system kurtuazyjnego „zapraszania panów braci" do jakichkolwiek, oczywiście tylko całkiem dobrowolnych, usług ojczyźnie — nie był jeden, ale było i jest ich tysiące i miljony.

Doraźne, anarchiczne bohaterstwo — oto kwintesencja ducha dziejów społeczeństwa polskiego, jaki zaczął kształtować się już za czasów Jagiellońskich, a rozhulał się na dobre w epoce elekcyjnej tak, że bohaterstwo coraz bardziej zanikało, a anarchja coraz bardziej brała górę. Różne wyjątki, przeciw temu prądowi rozkładowemu walczące, potwierdzają tembardziej tę regułę.

Rzecz to już dzisiaj niby powszechnie uznana, tembardziej, że trudno historykom i politykom wytłumaczyć w inny sposób katastrofę rozbiorów narodu, aż tak żywotnego, że po półtorawiekowej niewoli mógł w korzystnej okazji odtworzyć niemal za jednym zamachem znowu silne państwo i wygrać nawet wojnę! A jednak, choć to niby rzecz znana i uznana, mniej zastanawia się ogół nad tem, komu właściwie tę wielką swą przemianę zawdzięcza? Kto sprawił, że dzisiejsza Polska tak oczywiście i jednomyślnie potępia dawnego ducha anarchji, złotą wolność i liberum veto, a natomiast dyskutuje obecnie nad problemem autorytetu państwa, mocarstwowości i silnej władzy, chociaż,

co do form i metod, a zwłaszcza personaljów tej silnej władzy, jeszcze na „partje“ się dzieli?

Otóż najmniejszej dla nas nie ulega wątpliwości, że późniejszy, objektywny, sprawiedliwy sąd historji odda w tym względzie zasługę dwóm, kolejno po sobie od drugiej połowy zeszłego stulecia występującym „szkołom“ politycznego myślenia.

Mówię tu wyraźnie o dwóch s z k o ł a c h, nie zaś o stronnictwach, lub reżimach, z tych szkół wyrosłych, co już poza obręb niniejszego tematu wychodzi. A obie te szkoły, bardzo różne swą genezą, taktyką i charakterem, związane są jednak organicznie tą samą kulminującą tezą, tym samym twardym, niepopularnym postulatem i celem: żądaniem dyscypliny i silnej władzy w państwie, a przez to samo zwalczaniem anarchicznych form patrjotyzmu. Są to: konserwatywna krakowska szkoła historyczna „Stańczyków“ i dzisiejsza rządząca szkoła „Piłsudczyków“. Bo i tu już całkiem wyraźnie o „szkole“ można mówić.

Stańczycy i Piłsudczycy — co za odrębność przy powierzchownej obserwacji! Przecież, powie każdy, jedni z drugimi nie mają nic wspólnego! Porównajmy poszczególne jednostki z jednej i drugiej szkoły, a uderzą zaraz tak wielkie różnice, jakich nie znalazłoby się może w pobieżnem porównywaniu między sobą poszczególnych członków wszelkich innych „partji“ politycznych.

Poszczególnie i pozornie tak! Ale w głębszej istocie rzeczy zachodzi organiczne podobieństwo obu szkół i więcej nawet, bo kontynuowanie, przebijanie się wśród nieprzyjaznej opinji z pewną ideą i programem i odwiecznym — niestety odwiecznym! — programem Naprawy Rzeczypospolitej.

Rzecz sama w zasadzie nie nowa, bo datująca się od jagiellońskich czasów, właśnie od epoki pierwszych wyraźnych objawów anarchizacji ducha narodowego i idącego w ślad za tem wewnętrznego rozstroju. Ale nowa o ty-

le, że w nowocześniejszych warunkach, gdy się jako wykończony program, naukowym poparty argumentem, ujawniła, wymagała wielkiego zaparcia się i odwagi cywilnej, aby — negliżując zupełnie wygodny postulat popularności — powiedzieć szczerą prawdę społeczeństwu, zgnębionemu moralnie i rozrzewniającemu się nad sobą mistycyzmem cierpienia.

Krzykliwi patrjoci, którzy woleliby widzieć Polskę raczej płaczącą i żebrzącą (la Pologne mendiante), niż pokutującą za swe winy, rzucili się zażarcie na „depcących świętości narodowe" Stańczyków. Odsądzono ich od czci i wiary, a przedewszystkiem postarano się skwapliwie o jeszcze większe zniekształcenie prawdy historycznej, niż zdołała to już uczynić rzewna legenda poprzedzających stu lat. Na miejsce tej prawdy, bijącej zresztą w oczy z każdego niepodejrzanego źródła, budowano jakiś romantyzm dziejowy, z którego każde dziecko szkolne uczyło się, że Polak był zawsze „dobry i grzeczny", a wszystkie inne narody „złe i niegrzeczne".

Karygodne pielęgnowanie owego ducha anarchji na sfingowanej historji wśród pokoleń, którym właśnie prawdy i dyscypliny było przedewszystkiem potrzeba!

Szkoła krakowska, nie zważając na wszelkie gromy, robiła dalej swoje i wkońcu — przebiła się ze swą ideą i programem. Bo w idei tej — autokrytyki narodowej, dyscypliny i autorytetu władzy — był zawarty i program cały. I rzecz ciekawa, że jakkolwiek stronnictwo polityczne krakowskie, ze szkoły tej wyrosłe, niewielką zawsze tylko miało liczbę zwolenników, nie przekraczającą nigdy kilkuset głów, to program samej szkoły podbił całe niemal społeczeństwo we wszystkich dzielnicach rozbiorowych. Ulegli mu jedni świadomie, z przekonania, drudzy podświadomie, z uczucia rzeczywistości. Kamienowano twórców, ale przyjąć musiano ich tezy, poparte ciężkiem doświadczeniem dziejów.

Czy teza główna szkoły krakowskiej — teza rachunku sumienia narodowego — była pesymistyczną, jak to wbijali ludziom w mózgi hurrapatrjoci wszelkiego kalibru i wszelakiego stopnia „narodowego rozrzewnienia"? Wprost przeciwnie — stanowczo stwierdzić należy, że teza stańczykowska wlała w przygnębione wówczas społeczeństwo olbrzymią dozę zdrowego optymizmu, chociaż go szeroki ogół przyjął najczęściej tylko podświadomie. Bo jasnem jest dzisiaj, że wszelkie rozrzewniania się nad „niezasłużoną karą", nad jakąś mistyczną, odkupicielską niedolą narodu, wszelkie usprawiedliwianie upadku Polski siłą wyższą, musiało płodzić tylko samobójcze uczucia bezradności i beznadziejności. Bo jeżeli ktoś upada nie z własnej winy, ale pod obuchem siły wyższej, to cóż mu pozostaje, oprócz rozpaczy? Inaczej jest, gdy ktoś zyskuje przeświadczenie, że niedola jego li tylko z własnych jego błędów pochodzi. Bo wówczas budzi się w logicznem następstwa i nadzieja, że naprawiwszy te błędy, może i swój los poprawić.

Tak więc historyczna szkoła krakowska faktycznym swym optymizmem — chociaż twardą podawanym metodą — wyrwała społeczeństwo z przygnębienia, marazmu i apatji i daleko więcej, niż wszelkie patrjotyczne śpiewki i chorągiewki, pchnęła na realne tory naprawy, skrzętnej pracy i pozytywnego gotowania się na spodziewany kiedyś moment odzyskania niepodległości, który stał się odtąd już nie rzewnym symbolem tęsknoty, ale mocną wiarą.

Szkoła krakowska spełniła więc swe zadanie i wydać można o niej sąd, że — dobrze zasłużyła się Ojczyźnie.

A potem przyszedł przełom wojenny, powojenny i wreszcie majowy. W okresie tym szkoła krakowska ustąpić musiała z natury rzeczy miejsca innym twórczym prądom, gdyż ona stworzoną, powołaną i przysposobioną była do wyjaśnienia historji dawnej i położenia w ten sposób podwalin duchowych pod nową, ale nie była przysposo-

bioną do bezpośredniego tworzenia tej nowej historji. Uczyniła ostatni jeszcze gest, chlubnie zamykający jej kartę. W momencie, gdy społeczeństwo polskie deliberować zaczęło nad kwestją poparcia legjonów, wysuwając różne racje i nieracje, ostatni epigoni krakowskiej szkoły, choć zgoła nieświadomi rzeczy wojskowych, krzyknęli bez wahania, ostatnim wysiłkiem płuc: Tak!!!

Ale nową historję w danych, konkretnych warunkach, ująć musiała w ręce inna szkoła, która tymczasem tworzyła się i kształciła: szkoła ludzi, przysposobionych specjalnie do czynu i to do zbrojnego czynu. Tworzył ją całkiem odmiennemi, niż Stańczycy, drogami Józef Piłsudski w długiej, ciężkiej walce całego życia. A tworzył ją dobrze, skoro znalazł spory zastęp ludzi, którzy go zrozumieli i wśród najgorszych przejść przy nim wytrwali. Bo to jest najlepszym probierzem wartości każdej szkoły.

Dlaczego właśnie ta niepodległościowa szkoła objęła wkońcu ster rządów odrodzonego państwa, a nie inna? Wszak były różne inne jeszcze niepodległościowe kierunki, a nawet i czyny. Wszak np. niepodległościowy kierunek, reprezentowany przez organizację armji Hallera, daleko potężniej rozwinął się liczebnie tak pod względem siły wojskowej, jak i pod względem ilości zwolenników w kraju i to nawet w momencie, gdy uszczuplone legiony Piłsudskiego uwięzione zostały w Szczypiornie i zdawało się — zniszczone. A jednak myśl Piłsudskiego wzięła przecież górę, doszła do steru rządów i wytworzyła szkołę!

Dla nas nie ulega znowu wątpliwości, że stało się to dlatego, że kierunek, przez tą grupę reprezentowany, umiał pochwycić właściwą nić historyczną — ową nić Naprawy Rzeczypospolitej, przerwaną chwilowo, może pozornie tylko, wśród kilkoletniej zawieruchy wojny światowej. I tym faktem Piłsudczycy nawiązali do lepszej strony ducha naszych dziejów i przez to właśnie zyskali odrazu głębszą, niejako organiczną podstawą racji bytu i programu

działania w odrodzonej Polsce. Sam czyn wojenny, samo chwycenie za oręż, nie byłyby jeszcze wstanie zdziałać tego, że dzisiaj nietylko Polska, ale i świat cały uznaje rządy tej grupy, jako rzecz, w Polsce całkiem naturalną. Bo oni jedni wśród obecnych pokoleń wykształcili u siebie szkołę państwowego myślenia i działania i z możliwą w danych warunkach konsekwencją w czyn ją wprowadzają. Oni jedni pochwycili w dalszym ciągu ideę autorytetu państwa i silnej władzy, tworząc z niej nawet pewną, wszechstronnie argumentowaną i ciągle rozwijaną doktrynę. U nich też — za przykładem ich Wodza — w ich tendencjach, pismach, przemówieniach, najsilniej brzmi nuta historyczna, najwyraźniej widocznem jest zrozumienie ducha naszych dziejów. Tego nikt nie może zaprzeczyć. Inne kierunki poszły bezkrytycznie, usłużnie, za wszelkim „postępem", sproletaryzowanym kontynuatorem dawnej anarchji szlacheckiej. Oni jedni mieli zmysł i odwagę „cofnąć się" do historycznej idei.

Rzecz jasna, że w potocznem życiu, w rzeczywistej historji — nie urojonej — nie idzie nic tak idealnie, jak w romantyczej powiastce dla dzieci. Wymagać coś podobnego i sarkać, że tego niema, to naiwność, dowodząca zupełnej nieznajomości życia, a zwłaszcza życia publicznego. To też, jeżeli mowa o jakiejś szkole, to oczywiście rozumie się przez to ogólny kierunek i rezultaty tej szkoły, konstatowane w pewnych, nieco dłuższych etapach, a nie szczegóły codziennej działalności pojedyńczych osób, które mogą i — po ludzku biorąc — muszą z natury rzeczy obfitować w różne dorywcze pomyłki i błędy. Zwłaszcza zaś dziać się to musi tembardziej w szkole, która znajduje się dopiero w stadjum tworzenia się, konsolidacji i rozwoju, idącego nietyle książkowym torem, ile przedewszystkiem praktycznem doświadczeniem życiowem, czerpanem z dzisiejszych, niezmiernie trudnych i skomplikowanych stosunków państwowych i światowych wogóle. Dlatego

też wartość, kierunek i rezultaty szkoły politycznej należy mierzyć i oceniać nie na podstawie tysiącznych wypadków dnia, w których powierzchowny obserwator może się gubić, ale na podstawie bezstronnej, nieuprzedzonej niczem obserwacji ogólnej, stopniowej ewolucji psychicznej społeczeństwa, w którem dana szkoła działa.

Jest to tembardziej konieczne, że chociaż idea, zarysy programu i metoda myślenia państwowego są w obecnej szkole „Piłsudczyków“ oddawna już gotowe, a nawet i praktycznie realizowane, to jednak program tej szkoły nie jest jeszcze wszechstronnie wykuty w szczegółach, bo na to wprost jeszcze czasu nie miała. Wykończenie programu szkoły państwowego myślenia jest rzeczą żmudną i długą. Wszak jeżeli szkoła Stańczykowska potrzebowała do swego rozwoju, wykształcenia i penetracji w społeczeństwo kilkudziesięciu lat i długiego szeregu wybitnych dzieł historycznych, których fundamenta naukowe nie mogły być oczywiście z dnia na dzień stworzone, to podobnie i szkoła Piłsudczyków potrzebuje jeszcze odpowiedniego czasu, aby się w kompletny system rozwinąć i to tembardziej, że powstawała nie w wygodnych warunkach regularnych studjów naukowych, ale z konieczności w konspiracyjnych podziemiach walki o niepodległość, gdzie przemyśliwanie zastępować musiano nieraz intuicją, bo na długie rozmyślanie po prostu czasu nie było. Tak więc była tu z początku intuicja — i to trafna intuicja — o potem dopiero, w ustalających się warunkach niepodległego państwa konsolidować i kształcić się zaczęła ta intuicja w program, coraz głębiej przemyślany.

Tak jest, zaczęła się k s z t a ł c i ć! Bo zarówno sam twórca tej szkoły, jak i jego najbliżsi zwolennicy, mają tę niezmierną wyższość nad innymi żywiołami, które współzawodniczyły w budowie wskrzeszonego państwa polskiego, że Piłsudski i jego grupa, mając ogólną, zasadniczą ideę przed sobą, zaczęli pilnie u c z y ć s i ę tru-

dnej sztuki państwowego myślenia i działania, czerpiąc szczegóły swego programu z praktycznego doświadczenia i obserwacji stosunków — podczas gdy inni narzucili słabemu jeszcze organizmowi młodego państwa w zarozumialczym porywie różne gotowe, przeważnie z zagranicy importowane, a dla Polski nieraz zabójcze doktryny i koncepcje, bezkrytycznie radykalne, proletaryzujące i anarchizujące.

Są ludzie, zbyt pochopni bałwochwalcy, którzy wielkości Józefa Piłsudskiego dopatrują się w legendzie, jakoby on na kilkadziesiąt lat wstecz absolutnie wszystko, co ma nastąpić, z góry przewidział i wiedział. Ja zaś przeciwnie, wielkość jego widzę w tem przedewszystkiem, że mając wprawdzie przed oczyma od młodości swej niepodległość Polski i przewidując słusznie rosnące naprężenie w Europie, które w ostatecznym swym wybuchu mogłoby stworzyć korzystne warunki dla wyzwolenia narodu, zechciał jednak uczyć się z życia tego wszystkiego, co nietylko dla stworzenia, ale i dla utrzymania i utrwalenia państwa jest nieodzownem, studjować mentalność swego społeczeństwa i głębsze potrzeby specyficznej polskiej racji stanu. Zrozumiał konieczność tej nauki, która rewelacyjnie nikomu objawioną być nie może, ale tylko nabytą w długim okresie obserwacji, myślenia, zmagań i — cierpień. Inni zaś obsypali Polskę starodawnemi hasełkami rewolucji francuskiej, bezmyślnego tłumowładztwa i starożytnej anarchji szlacheckiej, przybranej ad usum nowych czasów w robotniczą bluzę lub chłopską sukmanę i zdawało im się, że taką receptą zdobyli za jednym zamachem całą mądrość polskiej racji stanu. No — i rezultaty tych recept importowanych, proszkiem marksowskim mocno zaprawionych, widzieliśmy i doświadczyli aż nadto przez pierwszych siedem lat niepodległości. Nie wdając się w proroctwa, mogę was jednak zapewnić, kochani Rodacy, że jeszcze dziesięć lub w dobrym razie dwadzieścia lat stoso-

wania tych wszystkich leków na organiźmie Ojczyzny, a byłaby Polska niechybnie weszła conajmniej pod kontrolę Ligi Narodów, polityczną i finansową, a może już dziś toczyłyby się na serjo targi o rewizję jej granic na wschodzie i zachodzie, na północy i na południu!

Prawdziwą, wielką zasługą jest nietyle intuicja, bo ostatecznie trafnie zgadnąć może niejeden, ile przedewszystkiem wytrwała praca. To też prawdziwie doniosłe dla państwa koncepcje lęgną się i kształcą stopniowo w ciężkich studjach i zmaganiach. Nie można ich dostać gotowych w pierwszej lepszej demokratycznej aptece na rogu ulicy, nie można zamówić ich za zaliczką pocztową w pierwszej lepszej księgarni zagranicą. A w jakieś cudotwórcze rewelacje, które bez trudu miałyby być komuś objawiane, jak koran Mahometowi, ja — Stańczyk — absolutnie nie wierzę. Nie byłoby w tem zresztą żadnej zasługi.

W tem leży rozwiązanie owej, rzekomo „sfinksowej“ zagadki, dlaczego Piłsudczycy stworzyli i kształcą szkołę myśli państwowej, a dlaczego inni jej nie stworzyli i nie byli nawet wstanie tego uczynić! A jakże objawia się ta szkoła?

Objawia się przedewszystkiem w rozbudowie tych samych w gruncie rzeczy fundamentów, które stworzyła w zasadzie historyczna szkoła krakowska. Te same założenia, te same wnioski i te same cele. Ten sam głębszy zmysł krytyczny, to samo realne nazwiązanie do rzeczywistości dziejowej. To samo postawienie autorytetu państwa, dyscypliny państwowej i tak dla Polski niezbędnej silnej władzy. Objawia się ten duch, przez Piłsudczyków oczywiście odpowiednio zmodernizowany do aktualnych wymagań państwa, w coraz liczniejszych, w coraz bardziej zdecydowanych pociągnięciach i enuncjacjach programowych we wszelkich dziedzinach, wprowadzając wszędzie jeden, naczelny moment—dyscyplinę. Tę dyscyplinę czer-

pie szkoła Piłsudskiego z wojskowych wzorów, co tak się nie podoba tylu świadomym, czy podświadomym wyznawcom wygodnego anarchizmu lub niedołężnego legitymizmu dawnych czasów. Bo skąd mogliby czerpać Piłsudczycy wzory karności i dyscypliny? Wszak od niepamiętnych czasów nie było ich w Polsce nigdzie poza obrębem wojskowości. Miały Prusy swych Hohenzollernów, Francja swych Ludwików — a Polska swą przysłowiową anarchję. A więc tylko z momentu karności wojskowej może szkoła Piłsudczyków czerpać wzory i podstawy dyscyplinowania społeczeństwa. Rzecz jasna i nie ma o czem mówić. Że to dla wielu nieprzyjemne, dla wielu arcyniewygodne, że kruszy wiele misternie zbudowanych podwórek i foteli, to rzecz również oczywista. Że przy tym wielkim procesie przebudowy psychiki społecznej — notabene bez porównania łagodniejszą, niż w niejednem innem państwie, prowadzonym metodą — nie dzieje się wszystko idealnie, to również żadnego rozumnego człowieka dziwić nie może. Nieuchronną jest rzeczą w realnych, ludzkich stosunkach, że gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecieć muszą. Realizacja zasad takiej życiowej szkoły, a zwłaszcza w okresie jej rozwoju, różnemi z natury rzeczy dążyć musi drogami i ścieżkami, pełnemi różnych wybojów i wykrotów, lokalnie nieraz krzyżującemi się wzajemnie, tu i ówdzie wchodzącemi w pewnych odcinkach chwilowo nawet na lokalne manowce, z których zawrócić trzeba i startować na nowo w poprawniejszym kierunku. To jest naturalne, to realne życie ze sobą przynosi. Ale zasadniczy tor i kierunek jest zdrowy, jest słuszny i innego w dzisiejszych warunkach polskiej rzeczywistości nikt wymyślićby nie mógł, bo ten właśnie tor leży na linji głębszej polskiej racji stanu.

Trzeba tej szkole jeszcze pewnych wybitnych dzieł naukowych, któreby program jej wszechstronnie ujęły i utrwaliły, a zarazem wyjaśniły w oczach ogółu. I to już się dzieje, chociaż narazie raczej jeszcze tylko w postaci

broszur o charakterze fragmentarycznym. Obszerniejsze, syntetyczne dzieła, jakie dały podstawę krakowskiej szkole, są tu jeszcze niemożliwe, gdyż naukowa synteza, która w szkole krakowskiej stanowiła z natury ówczesnych warunków punkt wyjścia do działania, może rozwinąć się w dzisiejszej szkole, rządzącej państwem, dopiero w następstwie rezultatów jej działania. Szkoła Stańczyków wyszła z księgi do czynu, szkoła Piłsudczyków wyszła z czynu i dlatego synteza tego czynu może w całokształcie swym tylko stopniowo zmierzać do księgi. Ale zdaje się, że żywe wypadki coraz więcej składają do tej księgi fragmentów i to we wszystkich dziedzinach, bez wyjątku. Jedne z tych dziedzin są w tej szkole więcej, inne może jeszcze mniej zaawansowane. Ale mam wrażenie, że jeżeli rzecz pójdzie dalej w dotychczasowym kierunku, to późniejszy historyk, mając przed sobą księgozbiór ostateczny jednej i drugiej szkoły, które ideę silnej władzy i dyscypliny postawiły sobie na czele swych programów, ze zdziwieniem spostrzeże, że mimo wszelkich różnic drugorzędnych, wszelkich, nawet wielkich różnic w genezie, drogach i sylwetkach poszczególnych tych szkół przedstawicieli, ma właściwie do czynienia z jednym kierunkiem, z jedną szkołą — w dwóch kolejnych wydaniach.

Stańczyk.
